

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcja i Administracja otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

DAWNE I NOWE ZŁUDZENIA.

Kto sięga pamięcią 20—25 lat wstecz, a ma pamięć dobrą, której nam Polakom w polityce często braknie, ten niezawodnie pamięta, że w ciągu tego czasu kilkakrotnie zjawiała się w prasie rosyjskiej, zwłaszcza w półurzędowej lub starającej się utrafić w myśl rządu i odgadnąć jego życzenia — mniej lub więcej wyraźna propaganda pojednania Polaków z Rosją. Sprawę polską podejmowała zazwyczaj prasa rosyjska w przewidywaniu wojny i wogóle niebezpiecznego zawiązania stosunków międzynarodowych. Tak było np. przed wojną turecką, i w czasie jej trwania, kiedy liberalny ale polakożerczy *Gołos* nagle zmienił front a za nim poszło kilka innych pism. Rząd w takich chwilach okazywał się też pozornie życzliwszym dla Polaków, o tyle przynajmniej, że pozwalał nam ludzić się dozwolnie nadziejami jakichś zmian i ulg. Jednocześnie w naszym społeczeństwie ukazywali się z początku pojedynczy harcownicy ugody, następnie nawet, nieliczne zresztą, grupy jej zwolenników. To samo, co widzimy teraz w prasie rosyjskiej i w społeczeństwie polskim, było już w r. 1876—78, tylko w mniejszych rozmiarach i mniej wyraźnie się objawiało. Politykę pojednawczą, jaką prowadzi teraz stronnictwo szlachecko-zachowawcze, posiadające pewną organizację i pewne doświadczenie w tego rodzaju sprawach, próbowały wówczas narzucić społeczeństwu żywoły liberalno-mieszczańskie, zbyt młode jeszcze i słabe, które nie mogły wyrzucić poważnego wpływu na opinię publiczną, tymbardziej że i dawne tradycje były żywotniejsze i grunt nie był należycie do tej akcji przygotowany.

Wszystko już jednak było, co teraz znowu się powtarza, zmieniła się tylko obsada głównych ról. Tę np., którą dziś z pewnym powodzeniem odegrywa *Kraj*, wybrał wtedy na swój pierwszy występ polityczny *Przeгляд tygodniowy*; tę, w której występują *Pietierburskie Wiedomosti* i którą być może obejmie *Nowoje Wremia*, grał *Gołos*. Czas zastąpił dziś ówczesne pisma poznańskie. Jeden bodaj p. Spasowicz, chociaż się postarzał i podupadł na ciele i umyśle, roli nie zmienił i wygłasza obecnie te same tryady historyozofizmu-polityczne o upadku »dawnego państwa polskiego« i koniecznych następstwach tego faktu, które przed dwudziestu laty usłyszeliśmy po raz pierwszy. I *Warszawskiej Dniownik* brał udział w tem nieudanem przedstawieniu, ale o nim można nie wspominać, bo był, jak jest dziś, lichym aktorem, powtarzającym z polecenia zwierchności dokładnie wyuczoną na pamięć rolę.

Trwała ta komedia przez lat kilka, wspominano o niej później dosyć długo w różnych okolicznościach, wreszcie i uczestnicy i widzowie zapomnieli o niefortunnej próbie pojednania Polaków z rządem rosyjskim.

Pozostało tylko na pamiątkę tej zabawy ugodowej kilka broszur, których dziś nikt nie czyta, których nawet dosyć trudno odszukać. A warto byłoby to zrobić, chociażby dla wykazania, że i autor »Obrachunków politycznych« sroce z pod ogona nie wypadł, że i on ma poprzedników i może się wylegitymować do spadku politycznego po nich.

Niema potrzeby szczególnie roztrząsać tych wspomnień, należy tylko zaznaczyć, że ludzie, którzy mieli zamiar rozpocząć przed dwudziestu laty politykę ugodową, dosyć prędko przekonali się, a raczej przekonała ich rzeczywistość, że weszli na drogę błędną. Wprawdzie do wstąpienia na tron Aleksandra III, a nawet w pierwszych latach jego panowania były jeszcze próby budowania »złotych mostów«, i margrabia Z. Wielopolski ogłaszał listy, w stylu i treści podobne do niedawno ogłoszonego — ale chociaż w społeczeństwie polskim widoczne były dążności pojednawcze, wpływała prasa rosyjska jakby na komendę zmieniła swoje zapatrywania na sprawę polską. I o tym fakcie znamienym zapomniano u nas, a przecie jest on bardzo pouczającym. Ani w objawach działalności zewnętrznej naszego społeczeństwa, ani w nastroju naszej opinii publicznej nie było w r. 1881—1882 nic takiego, coby tę zmianę jakkolwiek tłumaczyło. Po prostu zmieniły się stosunki wewnętrzne w Rosji, zmieniła się polityka rządu i prasa natychmiast zastosowała się do nowych jej wymagań. Na dane hasło zaczęła się ta naganka na Polaków, która trwała przez całe trzynastoletnie panowanie Aleksandra III i z każdym rokiem stawała się coraz gorliwszą, coraz zawziętszą.

W tym okresie nie było poważniejszych prób akcji ugodowej. Ani usposobienie cara, ani charakter jego polityki nie sprzyjały sztucznej hodowli tego rodzaju złudzeń. Zmarniały rychło słabe ich kiełki pod mroźnym tchnieniem prawdziwie narodowej polityki rosyjsko-prawosławnej. Nie miał rząd zresztą powodu łudzenia Polaków, bo nie miał żadnych zamiarów śmielszych w sprawach międzynarodowych, bo był zabezpieczony od nieprzewidzianych wypadków przez ugodę, prusko-rosyjską, bo polityka jego była tak szczerze pokojową, że nosiła wszelkie upokorzenia, których nie szczędziła Rosji nawet mała Bułgaria. Ale i w tym okresie, w r. 1886—87 i później, kiedy zastrzyły się stosunki międzynarodowe, uwidoczniły się oznaki pewnych usiłowań w celu zbałamucenia opinii polskiej. W prasie rosyjskiej zjawiały się niekiedy artykuły, zachęcające Polaków do pojednania się z potężnym państwem pobratymczem, a w *Warszawskim Dniowniku* wystąpił ks. Domagalski z projektem takiej ugody, będącym niemal zupełnym wyrzeczeniem się naszej odrębności narodowej. Ma się rozumieć, takie warunki ugody, jedyne, jakie wówczas ze względu na politykę rządu były możliwe, nie znalazły wcale zwolenników w spo-

łeczeństwie polskiem. Zrozumiał to rząd i zaniechał wszelkich prób daremnych. Ówczesny minister spraw wewnętrznych Tołstoj w rozmowie z ks. A. Lubomirskim otwarcie wyznał, że porozumienie się z Polakami jest zbyt ciężkiem, bo Rosya obawia się tylko wojny z Austryą, z którą jest niemożliwym współzawodnictwo w pozyskaniu przychylności społeczeństwa polskiego, gdyż rząd rosyjski nigdy dobrowolnie nie da mu tyle, ile daje rząd austriacki.

Nie należy do tych polityków, którzy z każdą wiosną oczekują wojny i do możliwości tego wypadku zastosowują wskazania polityki narodowej. Niewątpliwie w obecnej chwili wszystkie wielkie państwa w Europie są bardzo pokojowo usposobione, żadne z nich wojny nie pragnie, raczej każde lęka się jej. Wszelkie zawikłania w stosunkach międzypaństwowych gorliwie starano się rozplątać, powody do nieporozumień usunąć. Jakkolwiek niektórzy podejrzewają kierowników polityki rosyjskiej o ukrywane dotychczas zamiary, groźne dla pokoju Europy w blizkiej przyszłości, nie bierzemy w rachubę tego podejrzenia. Ale zaznaczamy tylko, że najpoważniejsze dzienniki europejskie przewidują możliwość takich wypadków w Turcyi, które wywołać muszą nieoczekiwane i nieobliczone w skutkach wystąpienia mocarstw zainteresowanych. Jeżeli nawet dzisiaj uda się zgodnie wszelkie sprzeczności interesów załatwić lub zaognienie ich odroczyć, to za rok, za dwa lata ujawnią się one znowu. Niema w danej chwili takiego napięcia stosunków między mocarstwami, jakie zdarzało się kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat dziesięciu, ale jutro, pojutrze jeden ruch konwulsyjny dogorywającego nad Bosforem »chorego człowieka« wstrząsnąć może całą Europą i zerwać wszystkie, z takim mozołem nawiązane nici wzajemnego porozumienia. »Jak tylko nastąpi ta doniosła katastrofa (agonia Turcyi), kwestya wschodnia — powiada stary dyplomata rosyjski — wysunie się na plan pierwszy w całej swej groźbie, w kształtach niezmiernych. Nigdy jeszcze, ani za Katarzyny II, ani za Mikołaja I i Aleksandra II kwestya wschodnia nie zajmowała takiego dominującego stanowiska wobec wszystkich spraw politycznych, jak teraz«.

Prasa rosyjska usilnie stara się dowieść, że pojednanie się Polaków z Rosyą jest ze względu na ich interesy pożądanem, że jest, jak mówią *Pietiersburskie Wiedomości* »uświadomieniem konieczności, uczuciem potrzeby własnej obrony« i przedstawia »niewyczerpane korzyści ekonomiczne«. Jeżeli istotnie sprawa tak stoi, to dlaczego znaczna, nawet przeważna część prasy rosyjskiej gorliwie się nią zajmuje, dlaczego dzienniki półurzędowe piszą wciąż o pojednaniu i skrętnie notują wszelkie »pomyślnie objawy«, podówczas gdy ogół polski zachowuje się dosyć obojętnie i trzeba wytrwałej propagandy licznej grupy ludzi, rozporządzających dużymi środkami i wpływami, żeby wytworzyć w nim słabe prądy ugodowe lub tylko zewnętrzne ich pozory.

Rosya rzeczywiście nie chce uregulowania sprawy polskiej, nie potrzebuje szczerego pojednania z Polakami, które kosztowałoby ją za drogo. I dlatego właśnie wszelka myśl o ugodzie rzetelnej jest dziś złudzeniem. Podstawą każdego kompromisu politycznego musi być silne poczucie wspólnej potrzeby, świadomość wspólnego dla obu stron interesu. Przypuściliśmy nawet, iż nie myli się prasa rosyjska, że społeczeństwo polskie pragnie gorąco pojednania się z Rosyą, kompromis dopóty nie będzie możliwym, dopóki Rosya nie uzna konieczności zawarcia go dla swego własnego interesu. Dziś tej konieczności ani rząd ani prasa rosyjska nie widzi.

Dziś dla Rosyi ugoda z Polakami nie jest wcale potrzebną, ale wobec tego, co powiedzieliśmy wyżej, pożądaną bardzo jest dla niej łudzenie się Polaków możliwością pojednania się z rządem. Strategicy ze szkoły p. Blocha, z którego wywodów drwią sobie powagi wojskowe, utrzymują z wielką pewnością, że zbrojne powstanie narodowe jest dziś niemożliwym. Istotnie ruch taki byłby bardzo utrudnionym, gdyby wojna, jak dotychczas od lat dziesięciu zawsze przypuszczano, toczyła się między Rosyą a Niemcami i Austryą, na terytoryum ziem polskich, które byłoby zalane milionowemi masami wojsk regularnych. Jednakże nawet w przypuszczeniu walki w takich warunkach sfery wojskowe austriackie i niemieckie liczyły się poważnie z możliwością powstania. Ale gdyby Rosyi, jak to dziś przewidywać wolno, wypadło ześrodkować główną akcyę wojenną na Wschodzie, gdyby jednocześnie prowadzić musiała walkę z Anglią, to czyż mogłaby, chociażby nawet zapewniła sobie neutralność Austrii, wycofać znaczną część sił zbrojnych, zgromadzonych teraz przeważnie na terytoryum polskiem, nie zabezpieczywszy się należycie od wszelkich niespodziewanych wypadków? A bez znacznego uszczuplenia tych sił, które trzyma na kresach zachodnich, Rosya nie jest w stanie, pomimo swej potęgi, prowadzić poważnej akcyi wojennej.

W rozprawach o niemożliwości powstania zbrojnego w ziemiach polskich pomieszano dowolnie względy polityczne i wojskowe. Nikt chyba nie przeczy, że dziś i wogóle w warunkach dzisiejszych powstanie zbrojne narodu polskiego przeciw Rosyi nie miałoby nawet takich widoków powodzenia, jakie miało w r. 1863. I wówczas nie liczo na to, że Polacy w walce zbrojnej zwyciężą Rosyę i uważano przedewszystkiem powstanie, jako środek do wywołania interwencyi mocarstw zachodnich. Dziś potęga militarna państwa wzrosła, a układ stosunków międzynarodowych jest dla nas mniej korzystnym, niż był przed trzydziestu kilku laty. To też niema w Polsce stronnictwa lub większej grupy ludzi, niema bodaj nawet jednego człowieka po czytelnego, któryby dążył do wywołania ruchu zbrojnego w warunkach istniejących. Ale nie oznacza to wcale, że powstanie jest niemożliwym. Polityka rządu rosyjskiego, prześladowania narodowe i religijne, agitacya patryotyczna i socyalistyczna i t. d. wytworzyły odpowiednie usposobienie w masach ludności, a powszechna służba wojskowa przygotowała odpowiedni materyał. W pewnych warunkach byłoby wcale łatwym urządzenie w zaborze rosyjskim powstania, które może równie łatwo rządby stłumił, ale które niepozwoiłoby mu przez czas dłuższy osłabić wojsk, rozstawionych w Królestwie i w kraju zabranym.

Dośkonale wie o tem rząd rosyjski i rozporządzenia sekretne, na wypadek wojny wydawane, zdradzają starannie tajoną obawę zbrojnego ruchu wśród ludności polskiej. Sympatye i pomoc czynna kilkunastu milionów Polaków mogą być mu obojętne, nie chce jednać ich sobie kosztem ustępstw, które za niebezpieczne dla siebie i swego narodu uważa. Lecz jeżeli sojusz z Polską nie jest dla Rosyi potrzebnym, to jawna nieprzyjaźń w pewnych okolicznościach okazać się może bardzo niebezpieczną. Używa więc rząd rosyjski wyprobowanego już kilkakrotnie środka, obezwładnia społeczeństwo polskie pozorami polityki pojednawczej i obietnicami ulg. Robi to przezornie i powolnie, żeby się zadaleko nie posunąć, żeby nietylko nie dać, ale nie przyrzec więcej nad to, co jest koniecznym, żeby w każdej chwili wycofać się swobodnie jeżeli przewidywane

dzis zmiany w stosunku rządu do społeczeństwa polskiego okazały się zbyt szkodliwymi. Objawy, ale tylko objawy zewnętrzne usposobienia pojedynczego wzrastają w stosunku prostym do możliwego niebezpieczeństwa, do odczuwanej obawy.

Zasługuje na uwagę fakt ciekawy i znamienity, że o sprawie polskiej wogóle i o pojednaniu Polaków z Rosyą w szczególności najmniej właśnie piszą te organy prasy rosyjskiej, które przedstawiają opinię niezależną i są niewątpliwie przychylniej od innych dla nas usposobione. Uczciwe i opozycyjne *Russkija Wiedomosti* nie zabierają w sprawie tej głosu, natomiast zajmują się nią *Swiet*, *Nowoje Wremia*, *Pietiersburskie Wiedomosti*, *Grazdanin* i t. d. które uważać można za organy dobrowolnie półurzędowe, bo chociaż w rozmaity sposób, ale zawsze w chwilach ważnych działają w myśl polityki rządu i stosują się do wskazówek, otrzymywanych poufnie. Te same pisma, które dziś o pojednaniu życzliwie mówią, niedawno jeszcze zawzięcie podszczywały opinię publiczną rosyjską na Polaków i teraz niekiedy zdradzają właściwe swe usposobienie. Jeżeli zmieniły naraz front, to widocznie wiedzą lub domyślają się, że dla rządu i polityki jego jest ta zmiana pozorna pożądana.

W danej chwili objawy usposobienia pojedynczego w prasie rosyjskiej mogą występować częściej i wyraźniej dlatego jeszcze, że oprócz względów polityki zewnętrznej grają w tem pewną rolę i względy polityki wewnętrznej. Opinia publiczna w Rosji żywi nadzieję lub obawę, że rządy Mikołaja II będą liberalne, przynajmniej liberalniejsze niż rządy jego ojca. Wprawdzie car liberalizmu swego w niczem wyraźnie nie zaznaczył i z naciskiem powtarza przy sposobności, że wszystko co ojciec uczynił, dobrze uczynił — w tej zatęchłej atmosferze politycznej, którą oddychać musi społeczeństwo rosyjskie czuć bardzo jeszcze lekkie, ale świeższe powiewy. Panowanie Aleksandra III ciążyło straszną marą nie tylko nad nami, ale i nad społeczeństwem rosyjskim, chociaż polityka rządu była tak wyraźnie narodową. Była to epoka ponurego, denerwującego zastoju, drażniącego w ludziach złe instynkty, epoka rozpasania tej wzajemnej nienawiści, na której oznaczenie język nasz niema nazwy, a którą Rosyanie charakteryzują niezręcznie ukutym, ale dosadnym wyrazem *czelowiekoniawistnicestwo*. Ten ciężar, którego dokładnie określić nie podobna, który można tylko odczuć, przyniata już nie tak silnie, jak dawniej, społeczeństwo rosyjskie. Wolno więc na zasadzie prawdopodobieństwa budować przypuszczenie, że panowanie Mikołaja II będzie istotnie liberalnym, ma się rozumieć w pojęciu rosyjskim.

Liberalizm rosyjski wie z własnego doświadczenia, że stosowanie praw wyjątkowych w ziemiach polskich odbija się pośrednio na charakterze polityki wewnętrznej rządu w całym państwie. Nawet w Rosji polityka liberalna jest niemożliwą bez pewnej swobody, bardzo zresztą ograniczonej, w działalności społecznej i bez pewnych rękami prawnych. Nakoniec liberalizm rosyjski w tem jednym nie różni się od europejskiego, że jest również centralistycznym. Koniecznym więc jest dla niego formalne uregulowanie stosunków polsko-rosyjskich, właściwie sprowadzenie do jednej normy, pozorne ujednostajnienie warunków życia politycznego i działalności społecznej w całym państwie.

Nie trzeba zapominać, że ten liberalizm biurokratyczny, który jedynie może być kierunkiem rządowym w Rosji i mieć wpływ na politykę państwa, jest

względem nas równie wrogo usposobionym, jak panujące dziś wsteczństwo prawosławno narodowe. Dla nas jest nawet niebezpieczniejszym, bo pozornym równouprawnieniem skuteczniej może osłabiać naszą odrębność narodową. Mówiliśmy już zresztą o tem obszerniej, nie będziemy więc znowu powtarzać znanych czytelnikom argumentów. Zaznaczymy tylko, że liberalizm, a nawet radykalizm rosyjski po r. 1863 z dziką zawziętością tępił wszystkie znamiona naszej odrębności politycznej i narodowej i że te smutne objawy zaprzaństwa narodowego wśród młodej inteligencji, których szkodliwe następstwa dotychczas w pewnej mierze odczuwamy, były wynikiem oddziaływania na społeczeństwo nasze liberalnych i radykalnych wpływów rosyjskich.

Jak dla rządu niebezpiecznym jest wrogie usposobienie społeczeństwa polskiego ze względu na politykę zewnętrzną, tak dla liberałów rosyjskich jest ono niepożądanym ze względu na politykę wewnętrzną. Ale dla jednego i dla drugich potrzebnym jest właściwie tylko pewne uspokojenie społeczeństwa naszego, osłabienie jego dążeń opozycyjnych za pomocą ustępstw pozornych i obietnic nieokreślonych.

Trzeba przyznać, że prasa rosyjska, pisząc o pojednaniu się z Polakami nie daje naszym ugodowcom materiału do złudzeń, biorą go oni raczej z własnej wyobraźni. Nie znaleźliśmy np. dotychczas w dziennikach rosyjskich ani słowa o przywróceniu jakichkolwiek praw językowi polskiemu, chociażby tylko w szkole. Wogóle w artykułach, z których byłoby już można złożyć kilka sporych tomów, nie mówi się wcale o realnych podstawach pojednania, o pożądanym jego warunkach. Publicyści rosyjscy i nasi ugodowcy, chociaż ci ostatni chętnie przybierają miano polityków realnych, kręcą się w zaczarowanym kole ogólników, z którego od kilku miesięcy wyjść nie mogą. Dopiero w ostatnich czasach, wskutek ogłoszonej rozmowy zakonnika polskiego w Rzymie z korespondentem dziennika *Nowoje Wremia* zaświtała nibyto myśl nowa, że Polacy i Rosyanie przedewszystkiem powinni poznać się wzajemnie. Nie wątpimy, że wzajemne zapoznanie się dla obu stron jest potrzebnym i byłoby korzystnym nawet po odrzuceniu przez nie fałszów i mrzonek ugodowych. Ale dla czego ma być ono koniecznym przedwstępny warunkiem pojednania, zrozumieć trudno.

Ów zakonnik rzymski, który zresztą okazał się człowiekiem wcale rozumnym, bodaj najrozsądniejszym z zabierających dotychczas głos ugodowców, powiada, że Polacy i Rosyanie „skazani są — nie wiem czy na wieczne — ale w każdym razie na długie, bardzo długie pożycie z sobą; tylko szalone młode głowy, nie znające ani historii, ani prądów politycznych naszego wieku, mogą marzyć o nowych powstaniach, o nowej Polsce w jej dawnych granicach. Czy kochamy się z Rosyanami, czy nie — to inna kwestya, ale żyjemy z nimi — jak wyraziła się wasza Rostopczyna — w nierozwiązalnym małżeństwie, a jeżeli niepodobna uzyskać rozwodu, to nareszcie trzeba pomyśleć, jakby urządzić, żeby oboje małżonkowie żyli nie tak jakby podczas wojny. Jeżeli zaś tak jest w istocie, trzeba wytwarzać „modus vivendi“, dający możność istnienia narodowego i postępu w tych warunkach, które Bóg dał narodowi naszemu, i których człowiek nie ma mocy zmienić. Pierwszy z tych warunków zależy na tem, ażeby zgodzić się z Rosyanami na pokój obywatelski i moralny, sprawiedliwy i dogodny dla stron obu“.

To, co mówi ów mnich, różni się dosyć znacznie od wskazań politycznych p. Spasowicza i jego nieudol-

nych komentatorów. Niema tu mowy ani o »bezpownym upadku« Polski, ani o wchodzeniu do środka państwa. Jest tylko rezygnacja człowieka przeżytego i niejednokrotnie zawiedzionego, pokorna uległość losowi, dosyć dziwna w prawowiernym katoliku i w dodatku w księdzu. Takich jak on ugodowców jest istotnie sporo w społeczeństwie polskim, ludzi zgnębionych, którzy stracili nadzieję oglądania ziemi obiecanej, chociaż się jej ostatecznie nie wyrzekli, ludzi, pragnących jakiegokolwiek uregulowania stosunków polsko-rosyjskich, byleby im ono zapewniło znośniejsze warunki bytu, przede wszystkim spokój, ale »dający możliwość istnienia narodowego i postępu«, ludzi, którzy, nie przesądając o dalszej przyszłości, w bliższej gotowi są w zamian za pewne ustępstwa ze strony rządu przyrzec mu wierność i posłuszeństwo i lojalnie dochować tego zobowiązania. Tacy ludzie byli już w zaborze rosyjskim przed r. 1863, nie popierali jednak polityki kompromisowej Wielopolskiego, owszem byli jej przeciwni dla tego właśnie, że zdaniem ich szła za daleko, że dawała za społeczeństwo zobowiązania, które w ówczesnych warunkach nie mogły być spełnione i przez to zamiast powstrzymać ruch rewolucyjny podniecała go i przyspieszała. Tacy ludzie teraz właśnie oburzają się szczerze na p. Spasowicza za jego manifest abdykacyjny, wygłoszony w imieniu społeczeństwa polskiego i za zawarte w nim przyrzeczenia, których większość narodu nie akceptuje. Z tymi ludźmi, którzy szukają jakiegoś sposobu uregulowania stosunków mógłby rząd zawrzeć, gdyby rzeczywiście chciał, »pokój sprawiedliwy i dogodny dla stron obu«. Nie byłby to, ma się rozumieć, pokój wieczny, bo polityka nie zna zobowiązań bezwzględnych. Ale, kto wie, czy większość społeczeństwa, nie uznając warunków, na jakich pokój ten zawarto, nie zgodziłaby się *tacito consensu* na zachowywanie go do czasu, jak zgadza się dziś na istniejący stosunek do rządu w Galicyi.

Lecz do takiego pojednania — niewiem czy wolno w danym wypadku użyć tego wyrazu — narodu z rządem obcym, społeczeństwa podbitego z panującym, nie potrzeba wcale wzajemnej znajomości, jeżeli stosunek ma być formalnie określony. Ani rząd austriacki, ani uprzywilejowana w państwie ludność niemiecka nie znali społeczeństwa polskiego w Galicyi, ani to społeczeństwo nie znało Niemców austriackich, kiedy zbieg wypadków wysunął konieczność kompromisu, dla obu stron w owej chwili pożądanego. Tego właśnie gruntu prawnopaiństwowego, który kompromis formalny lub domniemany ułatwia, nie ma w Rosyi i dlatego między społeczeństwem a rządem nie może tam być mowy o pokoju »sprawiedliwym i dogodnym« dla stron obu, chociażby Polacy i Rosyanie poznali się lepiej, niż się dziś znają.

Należałoby jednak poznać się lepiej, bodajby dla tego, żeby samym uniknąć i nie dawać innym powodu do złudzeń, które czasem dla obu stron są jednakowo szkodliwymi i wytwarzają komedię pomyłek, kończącą się zwykle tragicznie. Zakonnik polski, o którym wspomnieliśmy, dowodnie wykazuje, że Rosyanie wcale nas nie znają i drwi sobie z tej dziwnej logiki, która, uznając Polaków za wrogów, nie każe jednak ich poznać dokładnie. Tymczasem Polacy znają Rosyę doskonale. »Rzuciliście naszych patryotów w waszą bezgraniczną i niezmierną głębie, a oni wszędzie spadli jak koty na nogi. My istotnie znamy Rosyanina, wiemy czego można się od niego spodziewać, czego obawiać, w czym można się z nim zgodzić. Ale wy o Polakach nic nie wiecie. Proszę wziąć np. wykształconego Rosyanina i za-

pytać go: jakie idee rodzą się w jego umyśle na dźwięk słowa »Polska«. Jakiś »rząd«, jakaś »sprawa« »do lasu«, »jeszcze Polska nie zginęła«, »z dymem pożarów«, »żałoba po ojczyźnie« — szereg gotowych formuł tradycyjnych, a natomiast nic istotnego, opartego rzeczywiście na obserwacji«. P. Suworin, w tym samym dzienniku, w którym rozmowa korespondenta z zakonnikiem była podana, twierdzi, że i Rosyanie znają Polaków, bo mają ciągle z nimi styczność na swoim gruncie.

Pomimo to jednak ani my Rosyan nie znamy dobrze, ani oni nas nie znają. Ci patryoci, którzy »spadli jak koty na nogi«, nie tylko nie zapoznali nas ze społeczeństwem rosyjskim, ale w znacznej mierze skrzywili ten trafny pogląd, któryśmy sobie w dziedzinie politycznej na podstawie wiekowego doświadczenia na charakter Rosyan wytworzyli. Od Paska i ks. Chmielowskiego, który dosadnie charakter »moskiewskiej nacyi« określił, że »są słowa niedotrzymujący, do pijaństwa skłonni, ukarani nie mszczą się, ale owszem dziękują« — ze stosunków z rządem i narodem rosyjskim poznawaliśmy Rosyan w działalności publicznej. Taka znajomość tylko może mieć w polityce znaczenie. Tymczasem Polacy, przebywający w Rosyi, poznawali naród rosyjski w stosunkach osobistych, prywatnych i na tej podstawie wyrabiali sobie i upowszechniali w społeczeństwie naszym wyobrażenie fałszywe o charakterze politycznym tego narodu. Upowszechniło się np. u nas mniemanie o dobroduszości ludu rosyjskiego, chociaż pisarze rosyjscy niejednokrotnie wykazywali, że ta dobroduszość idzie często w parze z brutalnym okrucieństwem, dokonywanym z rozkazu władzy.

Ci znów Polacy, których u siebie poznają Rosyanie, nie mogą być uważani za przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Są to w ogromnej większości, »poddani rosyjscy pochodzenia polskiego i wyznania katolickiego«. Nie wielu jest pomiędzy nimi urodzonych i wychowanych w Polsce właściwej, zazwyczaj są to synowie niezamożnej szlachty litewskiej, która od kilku pokoleń zatracala stopniowo w służbie rządowej wybitne rysy charakteru narodowego. Za chlebem emigrują do Rosyi ludzie, w których poczucie narodowe osłabło; karyery tam szukają zwykle tacy, którzy z przekonania i z usposobienia swego już przestali być Polakami. Nie mogą więc Rosyanie wyrobić sobie dokładnego sądu o narodzie polskim z jednostek, które się wynarodowiły lub które, jeżeli nie pod względem moralności osobistej, to pod względem politycznym, przedstawiają zwykle najłichsze żywioły społeczeństwa naszego.

Nie znamy się i poznać się nam bardzo trudno, bo badać się bezstronnie nie możemy. Chcąc być bezstronnymi, wpadamy właśnie w stronność, bo stajemy się nad miarę pobłażliwymi, przynajmniej my Polacy. Mamy inny zupełnie sposób, powiedzcież można inne kategorie myślenia, różnimy się nie stopniem, ale rodzajem cywilizacji, przedstawiamy dwa zupełnie odrębne typy. Pisarze rosyjscy uważają zwykle podobne zdania za dowód naszej zarozumiałości. Ale właśnie dlatego, że my jesteśmy najmłodszymi w cywilizacji europejskiej, żeśmy nie brali poważnego udziału w jej wytworzeniu, tylko przejęliśmy główne jej właściwości, jesteśmy może najgorliwsiymi i najbardziej jednostronnymi jej przedstawicielami. My przyswoiliśmy sobie tylko te znamienne rysy cywilizacji zachodniej, których sprzeczność z cywilizacją wschodnią najwyraźniej występuje i dlatego nam bodaj trudniej, niż innym przystosować się do charakteru rosyjskiego. Gdybyśmy lepiej znali Rosyę i jej historię państwową oraz charakter

narodu rosyjskiego i gdyby Rosyanie dokładniej badali nasze dzieje, zwłaszcza najnowsze i nasz charakter narodowy, możliwość pojednania się, a właściwie łudzenie się nią wzajemne, szczerze lub nieszczerze, oddawna zostałoby z naszych odwiecznych rachunków politycznych wykreślone i, kto wie, czy nie byłibyśmy bliżsi jakiegoś uregulowania, stosunku pomiędzy sobą, aniżeli dzisiaj jesteśmy.

KILKA UWAG W SPRAWIE SZKOLNICTWA I OŚWIATY LUDU W GALICYI

Z powodu mowy posła E. Gniewosza o stanie szkolnictwa ludowego w Galicyi wywiązała się polemika, która od pierwszej chwili zбочyła na manowce i odbiegła od właściwego przedmiotu. W całej tej sprawie, wywołanej na porządek dzienny sporów dziennikarskich wystąpieniem p. Gniewosza, odróżnić należy dwie strony. Pierwsza jest wyłącznie polityczną. Chodzi o to, czy p. Gniewosz, jako poseł polski, powinien był występować przed obcymi w sprawie, należącej do autonomii krajowej i przedstawiającej tę autonomię w świetle niekorzystnym? Prasa zachowawcza różnych odcieni potępiała go za to surowo, wcale nie podając z początku w wątpliwość cyfr, przez niego przytoczonych. *Nowa Reforma*, która prawdziwości tych cyfr broni, o ile z niejasno wyrażonego zdania jej sądzić można, nie pochwała również wystąpienia p. Gniewosza w komisji budżetowej. Na te zarzuty odpowiedział już z mimowolną może ironią szanowny poseł, że jeżeli taka *par excellence*, galicyjsko autonomiczna sprawa, jak sprawa hodowli świń roztrząsana była w Wiedniu, to wolno tam przemawiać i w ważniejszej sprawie wychowania ludzi. Naszem zdaniem, którego tu uzasadnić nie będziemy, zarzut nie jest słusznym i ci, co ten zarzut uczynili, nie głoszą go z przekonania, bo sami niejednokrotnie i to bynajmniej nie w sprawach ważnych, ale ze względów osobistych lub stronnicych przeniewierzali się zasadzie, że o sprawach autonomicznych w sejmie tylko mówić należy.

Wystąpienie p. Gniewosza i osobę jego trzeba wyłączyć ze sporu o to: czy oświata ludu w Galicyi postępuje, czy też się cofa. Poseł sanocki przedewszystkiem nie jest w tej sprawie winnym, jeżeli podał cyfry mylne, winną jest Rada szkolna, która, jak to udowodniono, układała w ten sposób swoje sprawozdania, że każdy, kto z nich materyał faktyczny czerpał, mógł, nawet musiał się omylić. Nie ubliża zresztą chociażby nie uzasadniona wcale omyłka powadze posła. Przed kilkunastu laty Gladstone, jako przywódca opozycji, omylił się o kilka milionów w krytyce budżetu, sprawozdawca nie umiał tego błędu sprostować i spostrzegł go dopiero w parę dni potem jakiś dziennik. Nie zaszkodziła jednak wcale ta pomyłka ani zasłużonej sławie, ani reputacji znanego męża stanu, jako biegłego znawcy spraw finansowych.

Ale nawet wyłączwszy p. Gniewosza, nie odbierzemy już sprawie charakteru politycznego, który jej nadal i ci, co wystąpienie jego potępiali i ci, co go bronili. W żywej i namiętnej walce stronnictw każda sprawa publiczna staje się środkiem agitacyjnym, nie dziwnego więc, że i tę w rozmaity sposób wyzyskiwano. Skorzystały też z niej niektóre dzienniki rosyjskie i niemieckie dla skrytykowania polskich rządów w Galicyi.

Nie może być mowy o należytem wyjaśnieniu, chociażby tylko dokładnem przedstawieniu sprawy, która wpadła w wir polemiki politycznej, wyszukującej ją dla swoich celów stronnicych. Lecz dla tego właśnie, że stała się sprawą polityczną, wychodzącą po zakres stosunków galicyjskich, powinna być spokojnie i bezstronnie zbadaną. Nadano jej taki rozgłos, że już teraz interes tego lub owego stronnictwa musi zająć na plan drugi, że muszą umilknąć sympatye i względy uboczne. Nietylko dla obcych — sąd ich nie wiele nas obchodzi — ale dla rodaków naszych za kordonem rosyjskim, którzy dorywcze tylko wiadomości o sprawach i stosunkach galicyjskich otrzymują, należy wyjaśnić fatalną wątpliwość: czy istotnie szkolnictwo i oświata ludu w Galicyi cofają się wstecz, czy istotnie nie jesteśmy zdolni do działalności publicznej nawet w tej dziedzinie, której ważność powszechnie jest uznana? Odpowiedź twierdząca byłaby wyrokiem, potępiającym nietylko Radę szkolną, nietylko stronnictwo, które w kraju rządzi, ale wszystkie stronnictwa istniejące i dawniej działające, wszystkich tych ludzi żyjących lub umarłych, którzy mieli wpływ poważny na sprawy miejscowe, byłaby dowodem niewątpliwym naszego bankructwa politycznego i społecznego.

Oświata ludu wzrosła, wzrosła nadszodkownie w ciągu 20 do 30 lat i najlepszym dowodem jej wzrostu jest właśnie ruch polityczny wśród ludu, jest stronnictwo, należałoby może raczej powiedzieć, stronnictwa ludowe. Są tacy naiwni socyologowie, którzy powstanie ruchu ludowego przypisują zręcznej i gorliwej agitacji kilku osób lub nawet jednego człowieka. Ci ludzie, którzy działalność polityczną w masie chłopskiej rozbudzili, mieli wzrok bystrzejszy i zrozumieli wcześniej od innych, że lud może wystąpić samodzielnie dla tego właśnie, że podniósł się znacznie poziom jego oświaty.

A jeżeli oświata ludu, o czem chyba nikt szczerze nie wątpi, podniosła się, to jedno z dwojga: albo szkolnictwo postępuje również, albo rozwój oświaty nie zależy tak wyłącznie od rozwoju szkolnictwa ludowego, jak to zwykle twierdzą. Jeżeli zgodzimy się na ten drugi wniosek, sprawa pomnożenia i dobrego urządzenia szkół ludowych nie przestanie być dla nas ważną, ale nie będziemy już przypisywać jej decydującego wpływu na oświatę i dobrobyt, tymbardziej na przyszłość polityczną narodu.

W sprawie szkolnictwa ludowego w Galicyi pierwszy uderzył na alarm, jeżeli się nie mylę, p. Danielak, przynajmniej pierwszy narobił hałasu broszurą, w której naliczył 3 miliony, 700 tysięcy i nie pamiętam już ile setek, dziesiątków i jednostek analfabetów. Broszura była dosyć głośną, i, niestety, p. Danielak, który w najlepszych zamiarach poruszył tę sprawę, miał szczęśliwą, czyli raczej nieszczęśliwą rękę, bo puścił w obieg wśród publiczności sporo utartych, chociaż z gruntu fałszywych ogólników i wytworzył nawet pewną metodę pisanania o szkolnictwie galicyjskiem.

Ta metoda, którą zapewne w spadku p. Danielaku przyjęła redakcja *Nowej Reformy*, polega na operowaniu kilkoma cyframi, niewątpliwie prawdziwymi, ale zestawianymi dowolnie, bez żadnej krytyki, bez poczucia jakiegokolwiek wątpliwości: czy też rzeczywiście mają te cyfry znaczenie, jakie im się nadaje.

«Rachunek nasz jest jasny i prosty», powiada *Nowa Reforma*, prostując cyfry, podane w sprawozdaniu Rady szkolnej. Istotnie, jasny jest i prosty, tylko nie prawdziwy. Oto jak się ten rachunek przedstawia:

»I tak w r. 1804/95 liczba dzieci w wieku od 6 do 12 lat wedle obliczeń Rady szkolnej, wynosiła 960.000, liczba dzieci w wieku od 12 do 15 lat. 450.000; więc w wieku szkolnym przed dwoma laty mieliśmy 1.400.000 dzieci. Z tej liczby na naukę codzienną uczęszczało 557.633, na dopełniającą 108.483, razem 666.116 dzieci. Droga zwykłego odejmowania (1.410.000 do 666.000) dochodzimy teraz do liczby 744.000, jako do liczby dzieci »w wieku szkolnym« będących, które przed dwoma laty nauki nie pobierały, chociaż pobierać ją były powinny«.

»Droga prostego odejmowania« lub innych działań arytmetycznych, którą zwykle w badaniu statystycznym faktów i zjawisk społecznych postępują nasi publicyści, jest drogą łatwą, ale prowadzi najczęściej do fałszywych wyników, jak np. w danym wypadku.

Właściwie w wieku szkolnym od lat 6 do 12 było dzieci 960.000 z tych uczyło się w szkołach ludowych 557.000. Pozostaje 403.000 dzieci, z których kilkadziesiąt tysięcy, (dokładnie obliczyć niepodobna) uczyło się w domu, w szkołach prywatnych (22 000), w szkołach fachowych (7864 w roku następnym). Dodać należy, dzieci w tym wieku, uczące się w gimnazyjach i szkołach realnych, których było z pewnością około 4.000. Uczących się w domu dzieci w wieku szkolnym narahowano ledwie 8.000, zdaje mi się, że było ich znacznie więcej, bo nauczanie domowe dosyć jest upowszechnionem nie tylko w rodzinach zamożnych, ale i wśród ludu, w tych zwłaszcza miejscowościach, gdzie nie ma w pobliżu szkoły. Szczegółowe zbadanie tej sprawy w jednym z powiatów gubernii płockiej w Królestwie, gdzie ludność niechętnie dzieci do szkół posyła, udowodniło, że procent rekrutów piśmiennych okazał się prawie trzy razy większym, niż być powinien na zasadzie frekwencji szkolnej. Nie w takich rozmiarach zapewne, ale coś podobnego musi być w Galicyi, zwłaszcza w zachodniej części kraju. Nie 8.000 ale kilka razy więcej dzieci uczy się niewątpliwie w domu, świadczy o tem poniekąd ilość uczniów, wstępujących corocznie do wyższych klas szkół ludowych miejskich lub wprost z edukacji domowej do gimnazyów. Rachunek w danym wypadku musi być przybliżony tylko, rezultaty nie mogą być więc dokładne, w każdym razie bliższe będą prawdy, aniżeli cyfry, otrzymane »drogą prostego odejmowania«.

Bez obawy popełnienia omyłki przyjąć można, że w r. 1894/95 uczyło się w Galicyi, w rozmaitych kategoriach szkół i w domu co najmniej 600.000 dzieci w wieku od 6 do 12 lat, czyli nie korzystało z nauki 36 do 37%.

Jednakże i ten procent należy zmniejszyć, bo w liczbie dzieci w wieku szkolnym są takie, 6 do 7-letnie, które *jeszcze* do szkoły nie chodzą, ale w następnym roku chodźć będą, oraz takie, najstarsze, które już szkołę opuściły i umieją czytać i pisać. Giffen, powaga w badaniach statystycznych, jakkolwiek statystyki szkolnictwa ubocznie tylko dotknął, twierdzi, że dzieci w wieku szkolnym, należących do tych dwóch kategorii, wypada w Anglii około 10% ogólnej liczby, sędzę więc że i w Galicyi jakąś niewielką odsetkę odliczyć trzeba.

Z 450.000 dzieci w wieku od 12 do 15 lat uczęszczało na naukę uzupełniającą tylko 108.000. Dodać do tej cyfry trzeba kilka tysięcy dzieci, które w innych szkołach naukę pobierały. Według metody »prostego odejmowania« pozostałe dzieci, które dalszej nauki nie pobierają, zalicza się do analfabetów. Tak jednak nie jest, bo przeszło 60% tych dzieci chodziło do szkoły

w właściwym wieku szkolnym, więc z 450.000 około 280.000, może nawet 400.000 przynajmniej umiejętność czytania i pisania posiada. Niewątpliwie ten fakt, że tylko czwarta część dzieci od lat 12 do 15 z nauki uzupełniającej korzysta, jest objawem bardzo smutnym, dodać wszakże winniśmy, że objaw ten zauważono w całej Europie, właściwie w krajach, w których nauka uzupełniająca istnieje, nawet tam, gdzie przymus szkolny oddawna obowiązuje. Inaczej zresztą być nie może w dzisiejszym ustroju społecznym, pozwalającym na wyzyskiwanie pracy małoletnich, która tylko w niektórych gałęziach wytwórczości i to bardzo niedostatecznie jest ograniczoną lub zakazaną.

Gdyby dziennikarze nasi nie poprzestawali na prostych lub nawet złożonych działaniach arytmetycznych, a natomiast poświęcili trochę czasu i uwagi statystyce porównawczej, uniknęliby wielu błędów. Cyfra 1.410.000 dzieci które zdaniem ich powinny korzystać z nauki szkolnej, równa się 21% ogółu mieszkańców Galicyi. Otóż nawet w krajach, gdzie oddawna przymus szkolny istnieje i gdzie wszystkie dzieci muszą się uczyć, nie ma takiego procentu uczęszczających do szkoły: w Norwegii wynosi on 15·8%, w Prusach i Francyi 16·5% w innych krajach, gdzie przymus nie jest tak ścisłym, znacznie mniej. Tylko w Finlandyi liczba uczniów dochodzi do 18·6% ogółu ludności, ale to dla tego, że w ogólnej cyfrze figurują również uczniowie kilkudziesięciu szkół dla dorosłych.

Do jakich śmiesznych zestawień prowadzi czasem metoda prostych działań arytmetycznych w zwyczajnych nawet obliczeniach statystycznych, wskazuje następujący przykład. *Nowa Reforma*, polemizując z najświeższym sprawozdaniem Rady szkolnej, zaznacza, zupełnie słusznie, że wykazane w ostatnim roku powiększenie się liczby dzieci, uczących się w szkołach ludowych — o 48.000 musi być wynikiem mylnego rachunku i dowodzi, że właściwie liczba ta wzrosła tylko na 18.000. Ale jakiegoż argumentu używa na poparcie swoich dowodzeń?

Oto takiego: »Ponieważ zaś liczba szkół wzrosła w tym jednym roku tylko o 21, a liczba nauczycieli tylko o 321, to jeśli wzrost frekwencji obliczamy na 48.000, wtedy na jedną szkołę przypadnie 2.100 uczniów, w jednego nauczyciela 140 uczniów; jeśli wzrost frekwencji obliczymy na 18.000, to na jedną nową szkołę wypadnie przeszło 800, na jednego nauczyciela tylko 60 dzieci szkolnych. Więc niech nam daruje Rada szkolna, ale tutaj popełniono myłkę jakąś, którą usunąć należy«.

Możnaby pomyśleć, że powyższe obrachowanie jest sobie amatorską rozrywką statystyczną dla wykazania wprawy nietylko w prostym odejmowaniu lecz i w dzieleniu. Ale spójnik »więc« dowodzi, że jest to argument, przeznaczony do wykazania niemożliwości podanego przez Radę szkolną wzrostu liczby uczniów. Czyż doprawdy autor tego argumentu jest tak naiwnym i sądzi, że przyrost liczby uczniów tylko w nowych szkołach może się pomieścić? Przecie w dawniej istniejących niema ani określonego, ani wypełnionego kompletu.

Ale dosyć tej polemiki o cyfry, które ani nie wyjaśniają sprawy, ani tymbardziej pomódz nie mogą do jej rozstrzygnięcia zasadniczego. Nie jest w Galicyi w sprawie szkolnictwa i oświaty ludowej tak źle, jak twierdzą, powtarzam raz jeszcze — w najlepszych zamiarach — tutejszokrajowi pesymiści. Nie znaczy to jednak, że jest dobrze, że nic więcej robić nie trzeba, albo

że działalność Rady szkolnej nie zasługuje na surową krytykę. Przeciwnie, działalność dotychczasowa na polu szkolnictwa ludowego jest błędną, dla oświaty ludu bardzo mało użyteczną, poniekąd nawet szkodliwą. Dla podniesienia oświaty i rozwoju szkolnictwa dużo jeszcze zrobić należy. Żeby jednak odpowiedzieć sobie na pytanie: co i jak zrobić trzeba, powinniśmy przedewszystkiem odzwyczać się nietylko od bezwiednego nieraz utożsamiania oświaty z nauką szkolną, ale i od mylnego a dosyć powszechnego mniemania, że szkoła jest najważniejszym, niemal jedynym oświaty ludu czynnikiem.

Niektórzy dodają wprawdzie, szkoła dobra. Ale co to jest dobra szkoła? Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie zaznaczyć, że ta szkoła, która u nas nazywa się dobrą, jest właśnie złą szkołą; im jest lepszą w mniemaniu powszechnem, tym jest gorszą. Na pozór zdanie to wydać się może sofistematem, postaram się więc je uzasadnić. Niema bezwzględnie dobrego typu szkoły, najlepszym jest ten, który jest najlepiej zastosowany do warunków miejscowych -- do charakteru ludności, jej położenia ekonomicznego, potrzeb życia codziennego i t. d. Nasza szkoła ludowa w Galicyi już dla tego nie może być dobrą, że nie jest polską ze swego typu, że jest niemiecką, właściwie niemiecko-austriacką w urządzeniu wewnętrznym, w sposobie i treści nauczania. Zdrowy instynkt nauczycieli, jeżeli go nie skrzywiła i nie skaziła tresa szkolna lub seminaryjna, może choć trochę zapobiedz złemu, ale działalność nauczyciela, jest, jak wiadomo, silnie skrupowana przepisami i kontrolą władzy. Nie może być dobrą szkoła, mająca ten sam typ na całym obszarze kraju, w mieście i na wsi, jednakowa dla Polaka i Rusina, dla nawpół dzikiego Hucuła i chłopca z pod Krakowa.

Ogólnikowo tylko poruszyłem tę sprawę, o której dużo więcej należałoby powiedzieć, bo często słyszeć można lub czytać zdanie, że powinniśmy starać się nietylko o dostateczną ilość szkół, ale i o to, żeby były one dobrymi. Niektórzy twierdzą nawet, że przedewszystkiem trzeba zrobić istniejące szkoły dobrymi, a potem dopiero myśleć o otwieraniu nowych. Tego zdania, zdaje się, trzyma się Rada szkolna, która wciąż jeszcze reorganizuje szkoły i dla tego nie powiększa ich liczby.

Usuńmy więc ze sporu dobre szkoły, jak usunęliśmy wystąpienie p. Gniewosza, prawdziwie bowiem dobrych szkół nie mamy i nie prędko mieć je będziemy. Zobaczmy teraz, czy możemy mieć dostateczną ilość takich szkół, które za dobre w opinii publicznej i w opinii Rady szkolnej uchodzą?

Dla 1.113 gmin w Galicyi, nie należących wcale do związków szkolnych, należałoby założyć nowe szkoły i rozpocząć naukę w 453 już zorganizowanych, ale nieczynnych. Na urządzenie tych szkół i kilku nowych seminariów, bo istniejące nie dostarczają wymaganej liczby nauczycieli wykwalifikowanych, trzeba wyłożyć znaczną sumę jednorazowo i obciążyć budżet szkolny wydatkiem rocznym w kwocie co najmniej miliona zł. Czy kraj, a raczej czy lud, nad miarę już obciążony, na który główna część tego ciężaru spadnie -- dźwignąć go może? A przecie i takie pomnożenie liczby szkół, o jakim wspomnieliśmy, nie byłoby wystarczającym. Trzebaby podwoić liczbę szkół w Galicyi, a więc podnieść wydatek roczny na nie o 2 miliony zł. żeby w stosunku do liczby mieszkańców tyle było szkół przynajmniej, ile jest na Węgrzech, gdzie jednak około 15% dzieci nie pobiera nauki. W Niemczech jedna szkoła wypada na 600 głów ludności, we Francyi na 440, tam

też tylko może być ściśle wykonywany przymus szkolny. Chcąc dorównać stosunkom niemieckim lub francuskim, musielibyśmy co najmniej potroić wydatek dotychczasowy (2 miliony zł) na szkoły ludowe. Ma się rozumieć, nie wolno nam nawet marzyć o tem w bliskiej przyszłości.

Galicya jest krajem ubogim, bardzo nawet ubogim, nie może więc utrzymać dostatecznej ilości drogich szkół. Wprawdzie szkoły te kosztują stosunkowo tanio, tanięj niż gdzieindziej, ale dla ludu wypadają za drogo. Takie, jak są, nie mogą być tańszymi, przeciwnie koniecznem jest nawet podwyższenie wydatków na nie, mianowicie podwyższenie wynagrodzenia nauczycieli.

Nasuwa się jednak pytanie: czy nie można mieć szkół tańszych i czy w ogóle nie można w inny sposób taniej nabywać oświaty, niż nabywamy ją obecnie. Sądzę, że odpowiedź na to pytanie powinna być twierdząca.

Są dwa sposoby, dwa systemy oświecania ludu, jeden z nich można nazwać kontynentalnym, właściwie niemieckim, drugi angielskim, a raczej anglo amerykańskim. Pierwszy porucza te sprawy państwu lub pod jego kontrolą instytucjom samorządu, stwarza jednolitą organizację szkolną, określa, co każde dziecko, jako przyszły obywatel umieć powinno i zmusza rodziców do posyłania go na naukę. Władza szkolna ogranicza działalność nauczyciela, przepisuje metody nauczania, oznacza zakres wiadomości i nawet książki, których w szkole używać należy. Drugi system daje zupełną swobodę inicjatywie społeczeństwa w tej sprawie, nietylko zbiorowej ale i indywidualnej, pozwala każdemu uczyć, co i jak mu się podoba, nie zna ani przymusu, ani jednolitej organizacji szkolnej. Państwo kontroluje szkołę, ale nie miesza się do jej urządzenia wewnętrznego. Naturalnie są to ogólne tylko rysy dwóch systemów, które w każdym kraju stosują się mniej więcej do warunków miejscowych, do narodowej tradycyi szkolnej i t. d. Pierwszy wyznacza pewne minimum wiedzy, które uważa za niezbędne dla każdego obywatela i zmusza społeczeństwo do uczenia dzieci w oznaczony ściśle sposób, w ściśle oznaczonym zakresie; drugi pozostawia każdemu swobodę uczenia się, jak chce i stara się tylko o możliwe ułatwienie wszystkim nabywania wiedzy; pierwszy kładzie nacisk niemal wyłącznie na naukę szkolną, drugi uważa szkołę tylko za jeden z wielu środków oświecania ludu.

Wszyscy niemal pisarze, którzy badali stosunki szkolne w Anglii, z wyjątkiem może kilku zaślepionych rutyną pedagogów niemieckich, oświadczają zgodnie, że różnorodności szkół i sposobów nauczania zawdzięcza w znacznej mierze naród angielski te właściwości, któremi słusznie się chlubi. Szkoły angielskie i wszelkie wogóle urzędzenia mające na celu szerzenie oświaty, nie wytworzyły wprawdzie tych dodatnich właściwości umysłu i charakteru brytańskiego, ale je troskliwie zachowują, rozwijają i wzmacniają. Urządzenia, które wydają się nam nieraz dziwaczniemi i wadliwemi, których różnorodność i oryginalność śmieszy nas niekiedy lub nawet oburza, wyhodowały ten indywidualizm twórczy, tę przedsiębiorczość zuchwałą i zarazem przezorną, tę nieporównaną samodzielność umysłową, które są podstawą moralnej i materyjalnej potęgi narodu angielskiego.

Nikt nie powie, że kultura angielska niższa jest od francuskiej, lub niemieckiej, że naród angielski jest mniej od Francuzów i Niemców oświeconym, że opóźnia się w porównaniu z innymi narodami w rozwoju umysłowym, politycznym i społecznym. A jednak w tej

Anglii jest 18%, analfabetów i nikogo tam ta cyfra nie doprowadza do rozpacz. Nawet szkół jest w Anglii mniej, niż n. p. na Węgrzech, bo jedna przypada na 1200 głów ludności. Ale w tej Anglii każde dziecko, które chce się uczyć, może się uczyć, może to uczynić nawet człowiek dorosły, który w wieku młodocianym nie miał sposobności nabycia wiedzy. I niemal każdy ma zupełną swobodę uczyć się czego mu się podoba i jak mu się podoba. Nigdzie nie ma tylu samouków, tylu ludzi, którzy z najniższych szczebli drabiny społecznej wzniesli się na najwyższe, którzy z prostych robotników stali się znakomitymi uczonymi, pisarzami, mężami stanu.

To jest wzór, który w sprawie oświaty ludu i szkolnictwa naśladować, trzeba. Użyłem wyrazu »naśladować« bo inny odpowiedniejszy na myśl mi nie przychodzi, ale nie chciałbym być źle zrozumianym. Nie chodzi mi weale o kopiowanie wzorów angielskich, lub nawet przystosowywanie ich do naszych warunków. W epoce reakcji po r. 1848 jakiś poczciwy liberał niemiecki, opuszczając Londyn, zawołał z pokładów okrętowego, machając kapeluszem na pożegnanie: »O Anglio, daj mi chociaż tyle, ile się zmieści w tym kapeluszu, ducha twego i swobód twoich«. Otóż i ja pragnąłbym jedynie, żeby chociaż tyle, ile zmieścić się może w głowach członków Rady szkolnej, pedagogów i dziennikarzy naszych — wzięliśmy ze stosunków angielskich zrozumienia potrzeby samodzielności, swobody nauczania i przywiązania do tradycji oświaty narodowej.

Każdy człowiek w społeczeństwie cywilizowanym powinien mieć możność zdobywania wiedzy, oświecania swego umysłu. Zadaniem szkoły jest ułatwienie tej możliwości. Spełni je szkoła ludowa, która nauczy dziecko czytać i pisać i da mu, bardzo szczerupły zresztą, zasób wiadomości podstawowych. Więcej od szkoły wymagać nie trzeba, niekiedy zaś trzeba wymagać mniej nawet, poprzestać na nauczaniu czytania i pisania. Nie mamy dosyć środków materyalnych, musimy więc używać ich oszczędnie. Nie stać nas na dobre i drogie szkoły w dostatecznej ilości, postarajmy się więc o szkoły tanie, które zresztą z pewnością nie będą gorszymi. W zamożniejszych od naszego krajach są takie szkoły tanie. W Szwecyi i Norwegii są szkoły wędrowne, które i u nas w mało zaludnionych okolicach górskich możnaby zaprowadzić. Tamże i w Anglii upowszechniony jest system szkół filialnych. Jeden nauczyciel zarządza kilkoma szkołami, w których uczą młodszą działość jego uczniowie, co już ukończyli szkołę. Coś podobnego zdarza się i u nas, są bowiem zastępcy nauczycieli, ale możnaby to rozwinąć na szeroką skalę. Pozwólmy wreszcie uczyć dzieci każdemu kto chce i jak chce, darmo lub za pieniądze, a powstanie z pewnością sporo szkół i szkółek, na które rząd krajowy grosza nie wyda, lub które zadowolnią się skromną zapomogą.

Wolność i różnorodność nauczania jest tak samo narodową tradycją naszej szkoły, jak i szkoły angielskiej. Nawet komisya edukacyjna, jakkolwiek działała w duchu panującej wówczas doktryny mechanicznego pojmowania społeczeństwa, organizując szkoły, ograniczyła wprawdzie ich różnorodność, ale nie zniósła jej całkowicie. W Królestwie do r. 1863 obok szkół rządowych było mnóstwo, zwłaszcza niższych szkół i szkółek prywatnych, z których niemal każda inaczej była urządzoną. Nawet później w zakładach naukowych prywatnych żeńskich, a niekiedy i męskich utrzymywała

się przez czas jakiś różnorodność programów. Wspominam o tem, bo chociaż to bezpośrednio sprawy, która nas obchodzi, nie dotyczy, wskazuje — jaką jest prawdziwa tradycya szkoły polskiej.

Z pewnością znalazłoby się w Galicyi mnóstwo ludzi po wsiach, którzy w zamian za bardzo skromne wynagrodzenie uczyli by dzieci czytać i pisać i spełniali by obowiązek swój gorliwie. Pod wieloma względami byłaby ta szkoła gorszą od »zorganizowanej« przez Radę, ale miała by tę jedną zaletę, że pomysłami pedagogii niemieckiej nie zabijała by indywidualności narodowej dzieci polskich i tę drugą, że byłaby niewątpliwie bardziej ludową, dostępniejszą dla ludu.

Naturalnie, taka szkoła oprócz umiejętności czytania i pisania nic więcej dać nie może. Ale każdemu chcącemu ułatwiać by nabywanie wiedzy, gdyby... społeczeństwo robiło co potrzeba dla rozszerzenia oświaty wśród ludu. Dotychczas uczyniliśmy w tej sprawie bardzo mało. Dwa towarzystwa polskie założyły około tysiąca czytelnik, ale dobór książek w tych czytelnikach pozostawia wiele do życzenia. Przyjaciele ludu zaprowadzili w nich dla chłopów cenzurę, od której ustawa zasadnicza uwolniła w państwie austriackim innych obywateli. Zresztą nawet z tych książek, którym cenzura obu towarzystw nie zarzucić nie może, znajdują się w czytelnikach przeważnie tylko służące do zaspokojenia ciekawości, nauczających zaś bardzo mało się znajdzie, a jednych i drugich jest na ogół w każdej czytelnik niewiele.

Dobre czytelnik, obficie zaopatrzone w książki nie tylko z działu t. zw. literatury ludowej, która zawiera zazwyczaj utwory liche, są jednym z najważniejszych środków krzewienia oświaty i uzupełnić powinny wszystkie braki szkoły ludowej. Ale nie może być dobrych czytelnik bez dobrych wydawnictw popularnych i tanich, których tak niewiele jeszcze posiadamy.

Gdybyśmy w Galicyi chcieli mieć, bo mieć możemy, dobre czytelnik, dobre wydawnictwa popularne, a w dodatku kilka wszechnic ludowych w miastach na wzór angielskich i po wsiach — na wzór duńskich, wreszcie z kilkadziesiąt muzeów szkolnych i gminnych, takich np. jakie są we Francyi — za lat dziesięć oświata ludu stałaby znacznie wyżej, niż gdyby wszystkie dzieci zapędzono do szkół, zorganizowanych przez Radę. Naturalnie, musielibyśmy postarać się także o zniesienie stempla od pism, przynajmniej od pism tanich.

Na to wszystko nie potrzeba ani wielkich sum, ani wielkich wysiłków, potrzeba tylko trochę dobrej i energicznej woli, samodzielności i pozbycia się utartych pojęć. Nic nie pomogą utyskiwania na stosunki, panujące w kraju, na Radę szkolną, na stańczyków, na obojętność inteligencji. Z obliczania analfabetów i dzieci pozbawionych nauki żadnego nie będziemy mieli pożytku. Niewątpliwie utyskiwania te są słuszne, mogło być by lepiej, powinno być lepiej, niż jest, w sprawie szkolnictwa ludowego. Ale chociażby szło wszystko lepiej, nie otrzymamy w krótkim czasie tyle i takich szkół, ilu i jakich potrzebujemy. A ponieważ na tej drodze nie możemy zrobić wiele dla oświaty ludu, szukajmy dróg innych, dostępniejszych i prędzej prowadzących do celu, tymbardziej że są to właśnie drogi najważniejsze.

Ciesz się u nas popularnością, zwłaszcza wśród przyjaciół oświaty legenda o nauczycielu pruskim. Temu nauczycielowi zawdzięczają jakoby Niemcy zwyciężenie Francyi. Zapomina się jednak o tem, że ten nauczyciel istniał już oddawna i tak jak dziś zagwałdzał by

niemieckie. W r. 1870 był taki sam stosunek między szkolnictwem pruskim a francuskim, jaki był w r. 1806. Nie przeszkodził jednak wówczas ten sławny nauczyciel ani zwycięztwu pod Jeną, ani tryumfalnemu wejściu Francuzów do Berlina. Nauczyciel pruski jest postacią legendarną, ale Lincoln, ale Stephenson, ale Watt, Davy, Faraday, Burns, Stone, Brown i wielu, wielu innych — to są fakty, to są ludzie, którzy żyli i działali, chociaż nie wszyscy do szkół uczęszczali, a bodaj żaden z nich nie skończył dobrej szkoły ludowej, »prawidłowo zorganizowanej«.

Gdybyśmy mniej wierzyli baśniom o nauczycielu pruskim, to zamiast budowania wspaniałej szkoły w Białej, do której założenia można było Niemców miejscowych prawnie zmusić, mielibyśmy dziś za te pieniądze chociażby jeden uniwersytet chłopski a przy nim porządną bibliotekę i skromne muzeum. Czy wolno nawet pytać, która z tych dwóch instytucji byłaby dla oświaty ludu pożyteczniejsza?

J. L. P.

Z CAŁEJ POLSKI.

Kłopot ugodowców. Wrażenia oficera. Rząd i kultura. Dla czego lud w zaborze rosyjskim unika szkoły? Zmartwychwstanie polityki ugodowej w zaborze pruskim. Nowy czy dawny »rozstrój« w Galicyi.

Prezes cenzury warszawskiej p. Jankulio wypłatał figla ugodowcom. W braku innych dowodów pojednawczego usposobienia rządu rozpuścili oni pogłoskę, powtórzoną nawet przez dzienniki wiedeńskie, o wielkich ulgach dla prasy polskiej, które mają wejść w życie po Nowym Roku. Największą z tych ulg ma być zniesienie cenzury uprzedniej. Znając z własnego doświadczenia głupotę mezwykłą i złośliwość cenzorów warszawskich, sędzę, że zniesienie cenzury byłoby dla prasy polskiej pożądanem. Nie trzeba jednak ludzi się przypuszczeniem że w dzisiejszych warunkach miałyby ta zmiana znaczenie doniosłe. W Rosyi zarówno prasa »wolna« jak cenzuralna są ściśle zależne od kierunku, panującego w sferach rządowych, w Warszawie zaś od polityki generał-gubernatora i nawet od składu osobistego urzędników cenzury. Był czas, że prasa polska, skrępowana w poruszaniu spraw miejscowych, w sprawach ogólnej natury, nietylko naukowych, ale nawet społecznych i politycznych, miała większą wolność słowa, aniżeli prasa rosyjska. W Warszawie wychodziły lub sprzedawane były swobodnie przekłady polskie dzieł, zakazanych i konfiskowanych w przekładzie rosyjskim, takich nawet, jakich posiadanie w Rosyi właściwej narażało ludzi na więzienie i zesłanie. Zdarzało się czasem, że prokuratorya austriacka w Galicyi konfiskowała artykuły, przedrukowane z pism warszawskich. Jednocześnie wszakże nie wolno było używać wyrazu »ojczyzna« i t. p. Nastąpiły czasy Hurki i w ciągu lat kilku zmieniły się radykalnie warunki, chociaż cenzura pozostała tą samą i żadnych nowych przepisów dla niej nie wydano. W myśl ogólnej polityki państwowej i — specjalnej w Królestwie, odgrzebano różne rozporządzenia, od dawna nie stosowane i doprowadzono miejscową prasę polską i wydawnictwa książkowe do tego opłakanego stanu, w jakim się dziś znajdują.

Należy też zaznaczyć, że ten sam p. Jankulio, który obecnie wydał rozkaz umieszczenia tytułów rosyjskich na książkach polskich, dwukrotnie, jeszcze za czasów Hurki podawał projekt zniesienia cenzury uprzed-

niej dla pism polskich. W przystępie szczerości, pokazując swój projekt redaktorowi jednego z tygodników warszawskich, p. Jankulio wyznał otwarcie, że pragnie w ten sposób skuteczniej okiełznać prasę polską, która w obawie takich kar, jak odjęcie prawa umieszczania ogłoszeń i zawieszenie wydawnictwa, będzie ostrożniejszą jeszcze, niż jest obecnie, i zaniecha umyślnego wprowadzania w błąd cenzorów. Każde zaś pismo, którego kierunek uzna rząd za szkodliwy, będzie mógł bez rożgłosu i skandalu zgniebić.

W rękę rządu rosyjskiego tak zwana wolność prasy może być równie skutecznym narzędziem nękania myśli i słowa, jak cenzura, a nawet skuteczniejszym, bo ta ostatnia musi bądź co bądź pilnować się pewnych przepisów, kiedy z prasą, uwolnioną od cenzury, można robić co się podoba, »stosownie do okoliczności«, jak się mówi w stylu urzędowym.

Czas zwała winę na prezesa cenzury warszawskiej, chociaż wspomina, że nowy dyrektor departamentu prasy w Petersburgu wynalazł jakieś odwieczne, zapomniane przepisy i kazał zastosować się do nich. Urzędnik rosyjski, tymbardziej taki karyerowicz, jak Jankulio, nie ośmieliłby się przedsięwziąć na własną rękę czegoś takiego, coby mogło być źle widzianem w sferach wyższych. Prawdopodobnie, jeżeli wydawcy warszawscy odwołają się do Petersburga, uzyskają cofnięcie nakazu cenzury miejscowej. Ale niewątpliwie władza wyższa, jeżeli nie w Petersburgu to w Warszawie, o żądaniu prezesa cenzury wiedziała i pozwoliła mu próbować: może wydawcy zgodzą się pokornie i nie będą protestować wcale. Jest to, zdaje się, ulubiona taktyka hr. Szawałowa i jego pomocników. Mówią o pojednaniu a w pewnych odstępach czasu stosują nowe środki rusyfikacyjne. Ugodowcy, żeby nie psuć dobrego usposobienia rządu, nie drażnić władz miejscowych, znoszą w milczeniu nowe zamachy na resztki praw naszych. W ten sposób łagodny system Szawałowa więcej wyrządza nam szkody, niż brutalny system Hurki.

Ostatni wypadek zaniepokoił ugodowców, bo pokrzyżował im robotę, Krakowski ich organ nie wyraża szczerzego oburzenia, ale natomiast przyznaje się do obawy, że nakaz cenzury umieszczania tytułów rosyjskich, zwłaszcza na książkach do nabożeństwa, da broń do ręki »agitatorom«, którzy szerzyć będą między ludem pogłoski, że jest to pierwszy krok władzy do sprawostawienia katolicyzmu. Gdyby nie ci niebezpieczni agitatorzy, *Czas* zapewne ostatecznie pogodziłby się z rozporządzeniem prezesa cenzury. Teraz, srodze zasmucony, wyrzeka, że urzędnicy rosyjscy swoim nierozważnym postępowaniem paraliżują najlepsze zamiary ludzi rozumnych w naszym społeczeństwie i z bólem serca zaznacza, że w takich warunkach akcyja ugodowa może się nie udać.

Nietylko urzędnicy rosyjscy, ale i *Warszawskiej Dziennik* nie może się dostroić do zmiany tonu względem Polaków, wskutek czego nuty pojednawcze brzmią czasem fałszywie. P. Markgrafskij, jak na żandarma przystało, w artykułach swoich przemawia dosyć uprzejmie, czasem nawet, kiedy śpiewa duet ugodowy z *Krajem* — bardzo czule. Ale łagodne jego trele przerywa nagle — jak zwykle bywa w melodyjach rosyjskich — dziki wykrzyk, głos przyrodzony duszy moskiewskiej. Wspominałem już o korespondencyi z Berlina, charakteryzującej sprawę opalenicką; wkrótce po niej zjawił się w feljtonie opis wrażeń jakiegoś oficera, patryoty w klasycznym stylu moskiewskim, ziejący nienawiścią do Polaków. O samym feljtonie rozpisywać się nie warto, za-

znaczą tylko dla scharakteryzowania wiedzy autora, że po drodze z Warszawy do Lublina odkrył on takie czysto rosyjskie nazwy miejscowości, jak Garwolin, Kurów, Markuszów i t. p. świadczące, że tu niegdyś była *ruskaja ziemia*. Pomiedzy temi »odwiecznymi« nazwami rosyjskimi znalazł się i Iwanogród — nazwa nadana przed kilkudziesięciu laty Dęblinowi na uczczenie ówczesnego namiestnika Iwana Paskiewicza.

Jedna wszakże sprawa, poruszona w tym feljetonie, wymaga kilku słów wyjaśnienia. Niejednokrotnie podróźnicy rosyjscy po ziemiach polskich z przekąsem zaznaczali, że nie mogą dojrzeć objawów tej kultury, którą Polacy się chlubią. Lud po drodze z Warszawy do Lublina, zwłaszcza bliżej Warszawy, żyje niechlujnie i ubogo i nie wykazuje wcale wyższego społecznienia. Tak jest istotnie. Fakt, że ludność w pobliżu Warszawy jest mniej ucywilizowaną, niż w dalszych okolicach kraju, zasługuje na uwagę, zwykle bowiem w sąsiedztwie wielkich miast — ognisk cywilizacji, — widzimy wyższy poziom kultury. Dlaczego u nas dzieje się inaczej? Dlatego, że rząd nic nie zrobił dla podniesienia wpływu cywilizacyjnego Warszawy, a nawet przeciwdziałał mu. Niema w Warszawie żadnych urzędzeń, mających na celu szerzenie oświaty, niema muzeów i bibliotek ludowych, galerii dzieł sztuki, przedstawień i odczytów popularnych, niema żadnych instytucji — bo zakładać ich nie wolno — w których ogniskowałoby się życie umysłowe i oświecało najsilniej najbliższą okolicę. Pozbawiona możliwości wywierania wpływu uszlachetniającego, Warszawa, jak każde wielkie miasto, jest siedliskiem demoralizacji, którą swobodnie wchłania ludność okoliczna, bo pod tym względem ze strony władzy żadnych przeszkód niema.

Autor feljetonu zaznacza, że kultura gospodarcza w większych majątkach jest dosyć wysoka. Poprawimy go — jest bardzo wysoka, jeżeli weźmiemy na uwagę warunki, które rozwój jej powstrzymują. W Królestwie nie ma ani towarzystw rolniczych, ani szkół gospodarczych niższych i średnich — a jedyna wyższa ma kierunek nie praktyczny, jak w ogóle szkoły fachowe rosyjskie — ani stacyi doświadczalnych rządowych, ani mnóstwa innych urzędzeń, które nawet w krajach na pół ucywilizowanych państwo zakłada i utrzymuje. Rząd sam nie udziela rolnikom kredytu melioracyjnego i nie pozwala na założenie instytucji prywatnych, które by go ułatwiały. To, co zrobiono dla podniesienia kultury ogólnej i specjalnie rolniczej — zrobiono bez pomocy rządu, często wbrew jego woli. O działalność zaś rządu rosyjskiego dla oświaty ludu najlepiej świadczy fakt, że w stosunku do liczby mieszkańców jest dziś w Królestwie *mniej* szkół elementarnych, niż było w Księstwie Warszawskim w r. 1812.

W miesięczniku rosyjskim *Russkoje Obzrienie* w artykule p. t. »Zarysy kraju nadwisańskiego« skonstatowano na podstawie urzędowych danych fakt, że lud wiejski coraz bardziej zniechęca się do szkoły rosyjskiej. Do r. 1880, tj. do czasu, kiedy szkoła ludowa, już zrusyfikowana, była jednak w znacznej mierze polską, liczba uczniów w ciągu lat kilkunastu wzrosła o 134%. Od czasu zaś zrusyjszczenia szkoły ludowej liczba uczniów nie zwiększa się prawie wcale, nie przybývają nowe szkoły. Autor sądzi, że przyczyną niechęci ludu jest usunięcie księży od wykładowi religii w szkole. Dziwi się, że księża, którzy dawniej domagali się usilnie dopuszczenia ich do szkoły, teraz, kiedy im pozwolono wykładać religię, nie kwapią się wcale. Nie ma w tem nic dziwnego. Naprzód uzyskanie pozwolenia jest

dosyć trudnem, powtóre księża, którzy zresztą przystosowali się do istniejącego stanu rzeczy i naukę religii w szkole, zastąpili katechizacją dzieci w kościele, nie chcą przykładać ręki do roboty rusyfikacyjnej. Nakoniec żywią oni słuszną obawę, że z biegiem czasu rząd może im nakazać wykładanie religii po rosyjsku. Nie dla tego lud unika szkoły, że księdza w niej niema, ale raczej dla tego ksiądz do szkoły nie idzie, że lud jest do niej niechętny. A jeżeli tak jest to nie wiele pomoże zalecony przez *Nowoje Wremia* prawdziwie rosyjski środek — zmusić księży do nauczania w szkole.

Fakty, stwierdzone w piśmie rosyjskiem, są dostateczną odpowiedzią na zdanie wyrażone w feljetonie *Dziennika* i często powtarzane, że lud polski chętnie uczy się i mówi po rosyjsku. Obserwator przygodny zauważył nawet, że chłopci polscy z wielkim szacunkiem i miłością odzywali się o osobie cara, zdejmując jednocześnie czapki. Wiekowe poddaństwo i długoletnia niewola polityczna zrobiły chłopca chytrym, zwłaszcza wobec władzy. Wszyscy my zresztą, »niewolnicy, gorzej — słudzy niewolników«, grzeszymy często brakiem poczucia godności narodowej wobec wrogów. Trochę dziwną jednak wyda się ta okoliczność, że autor zauważył objawy lojalizmu i przywiązania do Rosyi w tej właśnie okolicy, gdzie w roku ubiegłym aresztowano kilkudziesięciu chłopów za propagandę patryotyczną, a niektórych trzymano nawet przez czas dłuższy w cyta deli.

Jakkolwiek *Kraj* już wyznał, że polityka ugodowa w zaborze pruskim nie ma dziś punktu oparcia, bo »nadzieja poważniejszego polepszenia stosunków pierzchna ostatecznie«, zwolennicy tej polityki nie dają za wygranę i bałamuć dalej społeczeństwo a teraz zwyciężają w Kole polskiem. Było życzeniem powszechnem, które nawet *Dziennik* już pod redakcją p. Łębińskiego wyrażał, żeby posłowie polscy interpelcwali rząd z powodu zmiany barw prowincjonalnych. Wyrażając swoje życzenie, opinia publiczna nie narzucała osłom formy interpelacji, pozostawiała im wszelką swobodę w tym względzie, żądała tylko poruszenia spraw, żywo ogół obchodzących. Dzienniki hakatystowskie, które nie chciały dopuścić roztrząsania tych spraw, zaczęły straszyć Polaków i odgrażać się, że interpelacje mogą dać powód do kompromitujących nas wyjaśnień i wywołać nowe środki represyjne. Pod wpływem tych pogroźek i wiecznie przesładowanej postów naszych obawy jątrzenia Niemców zwyciężyli w Kole stali i przygodni zwolennicy polityki ugodowej i większością jednego głosu zapadła właśnie uchwała, żeby spraw drażliwych nie poruszać. Naturalnie, *Dziennik* zmienił natychmiast front i zaczął dowodzić, że społeczeństwo, które wybiera posłów, nie ma prawa narzucać im swych żądań, a nawet, że posłowie mogą nie liczyć się wcale z głosem opinii publicznej. Słowem, wygłasza *Dziennik* zasadę bezwzględnej dyktatury posłów, którym społeczeństwo daje na cały czas trwania mandatu nieograniczone pełnomocnictwo. Posłowie, na mocy tej zasady, nie potrzebują wcale zdawać sprawę ze swych czynności i informować się o potrzebach i życzeniach społeczeństwa. Przez sam akt wyboru sływa na nich dar Ducha świętego, dar mądrości politycznej, której zwycajni śmiertelnicy wyborcy pojąć nie są zdolni.

Nie mając gruntu pod nogami, polityka ugodowa może być tylko, jak w danym wypadku, polityką bierności i zupełnej abdykacji z wszelkiego działania. To też posłowie polscy nie zabierali wcale głosu w parlamencie podczas rozpraw nad kodeksem karnym. A byli

to nieraz rozprawy, mające dla nas znaczenie bardzo doniosłe, w których można było dużo powiedzieć, nawet w pewnej mierze wpłynąć na zmianę wielu niekorzystnych dla nas postanowień tego kodeksu. To były przecie rozprawy rzeczowe, to była przecie znakomita sposobność wzięcia czynnego udziału w sprawie, dotyczącej interesów całego państwa i zarazem bardzo ważnej dla naszego społeczeństwa.

Warunków dla polityki ugodowej nie ma, a zwolennicy jej nie są zdolni do żadnej działalności pozytywnej, co się już nieraz okazało. Wymyślają więc dla bałamucenia społeczeństwa, że przecie coś robią — nie praktyczne, a nawet czasem niedorzeczne projekty, jak np. ogłoszony niedawno w *Dzienniku poznańskim*:

»Odezwać się trzeba obecnie do wszystkich Niemców dobrej woli, którzy chcą budować a nie burzyć którzy pragną spokoju a nie wojny, którzy doszli do przekonania, że występkiem jest wprost wobec państwa rozniecać w jego obrębie zwadę narodową i to w chwili, w której łączność sąsiadów ze wschodu i zachodu w tak dobitny objawiła się sposób, — odezwać się trzeba do nich z propozycją wspólnej pracy nad odbudowaniem i utrzymaniem zgody narodowej na wschodzie. Prasa nasza, niestety, tak niewielu liczy czytelników wśród współobywateli niemieckich, że w zadaniu tem może być jedynie pomocną, ale nie może podjąć go wyłącznie. Ludziom, stojącym na czele naszego społeczeństwa, poddajemy myśl inicjatywy w tym dziele pokoju. Niechaj się porozumieją celem wspólnej akcji, i niechaj do niej zaproszą ze społeczeństwa niemieckiego ludzi poważnych, sprawiedliwych i pragnących zgodnego pożycia obydwóch narodowości. Z porozumienia przewodników jednego i drugiego obozu niechaj wyjdzie odezwa do wszystkich ludzi pokojowo usposobionych, bez względu na stan, narodowość i wyznanie, niechaj się wyłoni jasny plan wspólnego działania. Nie wątpimy, że nasi przodownicy znajdą (?) chociażby kilka wybitnych osobistości wśród współobywateli niemieckich, które chętnie podadzą rękę do rozpoczęcia tej akcji, i nie wątpimy dalej, że i władze (?) inicjatorom pospieszą z poparciem. Gdyby nadzieje te zawiodły, to przy najmniej to mielibyśmy w zysku, że nikt nie miałby już prawa wątpić o dobrych naszych chęciach około utrzymania zgody i spokoju«.

Sam *Dziennik* wątpi i znakami zapytania to zaznacza, czy projekt znajdzie uznanie »na razie«, ale autora jego nazywa »światłym mężem dobrej woli«. Te pochwalne epitety wzmocniają jeszcze śmieszność projektu, który wydaje się nam płodem zwiędłego ze starości mózgu polityka kawiarnianego. Zresztą, może powagi poznańskie, matadorowie »partyi dworskiej« wszyscy mają już takie mózgi, bo i list otwarty barona St. Chłapowskiego »do obywateli niemieckich«, wzywający ich do wspólnego działania, ma wszystkie znamiona zdziecinnienia starczego. Trzeba zaznaczyć, że w obu tych manifestach odradzającej się polityki ugodowej brzmi ta sama nuta, którą niegdyś p. Koscielski wabił sfery dworskie. Bezimienny autor odezwy powiada, że »występkiem jest wprost wobec państwa rozniecać zwadę narodową w chwili, w której łączność sąsiadów z wschodu i zachodu w tak dobitny objawiła się sposób«, a p. Chłapowski dodaje, że z waśni pomiędzy Polakami i Niemcami »cieszy się ktoś trzeci«. Warto, żeby *Kraj* raz wreszcie wytlómaczył tajemnicę dziwnej łączności, a nawet serdecznych sympatyj pomiędzy polityką ugodowców w zaborze rosyjskim, dowodzących, konieczności pojednania się z Rosją, wobec

wspólnego niebezpieczeństwa. grożącego ze strony Niemiec. i ugodowców poznańskich — dowodzących, że Niemcy powinni pojednać się z Polakami wobec wspólnego dla nas i dla nich niebezpieczeństwa ze strony Rosyi.

Ważniejszą od wyżej przytoczonych elukubracyi ugodowych jest, podana w dzienniku półurzędowym *Post*, wiadomość, której dotychczas nie zaprzeczono.

»Wiemy — mówi dziennik berliński — że i ks. arcybiskup Stablewski życzy sobie dla ciężko nawiedzanej prowincyi spokojniejszych czasów i dla tego, po długim zapewnieniu, jakich niedawno temu udzielił jednemu z redaktorów pisma naszego, który miał sposobność omówienia z nim obszernie sprawy polskiej, możemy przyjąć, że i dla polskich nieskrajnych kół zmiana barw prowincyi poznańskiej w porę przyszła i pożądaną była, gdyż koła te pragną ograniczyć otwartą propagandę polską, która tak łatwo może przybrać rewolucyjny charakter«.

Osoba arcybiskupa powinna być wyższą nad takie posądzenia, ale, niestety, o ks. Stablewskim pisano już, że w tym samym duchu wyraził się o odrodzeniu narodowym Śląska. Wtedy wprawdzie *Kuryer poznański* zaprzeczył, jednak w taki sposób, że nie uspokoił opinii publicznej, ale raczej potwierdził prawdziwość zarzutu. Polityka ks. Stablewskiego i pewnej części duchowieństwa, która się względami jego cieszy, daje wciąż powody do podobnych posądzeń. »Czyż można było przed kilku laty przypuszczać — pisze *Kuryer lwowski* — że, patriotyczne na ogół duchowieństwo poznańskie, które tak świetnie zapisało imię swoje podczas walki kulturalnej, zrzuca się ideałów narodowych i, demoralizujący dając przykład, tworzyć będzie komitety dla stawiania na ziemi polskiej pomników Wilhelmowi I, protektorowi prześladowającego kościół polski Bismarcka? A przecież tego rodzaju smutny i oburzający fakt zdarzył się tymi dniami w Inowrocławiu!«

Jak silnym musi być duch katolicki w społeczeństwie polskim, jeżeli ani biskupi galicyjscy, ani ks. metropolita Kozłowski, ani ks. Stablewski postępowaniem swoim zabić go nie mogą!

Jedno z pism krakowskich wykazało, że podczas wyborów ostatnich najwięcej głosów chrześcijańskich otrzymał p. Bartoszewicz, ale upadł dlatego, że nikt z Żydów na niego nie głosował. Powodem tego miało być popieranie przez *Głos narodu* kandydatury p. Bartoszewicza i oświadczenie kandydata, że »bliższą mu jest ludność chrześcijańska niż żydowska«. *Kraj* w tym fakcie widzi objaw jeszcze jednego »rozstroju galicyjskiego« i na poparcie swego zdania przytacza następujący wyjątek z organu Żydów rosyjskich, *Woschodu*.

»Żydzi działali solidarnie tylko w jednym punkcie, t. j. w Krakowie. Przed wyborami odbyły się zebrania obywateli żydowskich którzy stawili się w liczbie dotąd niebywałej. Tu roztrząsano kwestyę: czy należy Żydom solidaryzować się z jedną z panujących w Galicji partyi, polską lub rusińską, czy też rozsądniej zebrać siły żydowskie i ześrodkować je na kandydacie Żydzie. W latach poprzednich kwestya ta rozstrzygała się zwykle na korzyść narodowości polskiej. W ostatnich jednak czasach Polacy, organizując katolickie związki rolniczo-gospodarskie i nadto dając im subsydyja z prowincjonalnej kasy galicyjskiej, przekonali Żydów, że na lojalność Polaków trudno rachować. Dlatego też tym razem postanowiono działać samodzielnie«.

Można było chyba, nawet w Petersburgu, ocenić, że notatka pisma rosyjsko-żydowskiego podaje szczegóły fałszywe i wogóle nie wiele ma sensu. Żydzi

w Krakowie nie mogli przecie roztrząsać pytania: czy należy popierać kandydata polskiego, czy ruskiego? Żadnych partyj polskiej i rusińskiej w Galicyi niema, są natomiast różne stronnictwa polskie i rusińskie, ale te ostatnie nie mogą znowu nazywać się »panującami«. Wreszcie wiadomość o »działaniu samodzielnem« jest fałszywą, bo jedna część Żydów głosowała za p. Sokółskim, a druga, większa, za p. Zollem i swymi głosami tego kandydata stańczyków przeparała.

Nie przeczę jednak, że zachowanie się masy żydowskiej podczas wyborów było objawem poważnego »rozstroju« stosunków społecznych w Galicyi, ale ten rozstrój istnieje już oddawna.

P. Bartoszewicz nietylko dlatego upadł, że kandydaturę jego nazwano antysemitką, ale i dlatego, że ma wstręt do szacherek politycznych i jest człowiekiem niezamożnym. Większość wyborców żydowskich, nietylko w Krakowie, sprzedaje po prostu swoje głosy hurtem lub detalicznie, a w najlepszym razie głośnie, jak im kahał każe. Pamiętam że właśnie p. Bartoszewicz (zdaje się, w *Kraju*) opisywał dowiepnie tego rodzaju proceder wyborczy.

Podczas ostatnich wyborów we Lwowie działo się coś podobnego. Nie twierdzą, że głosy kupowano, ale solidarność chałatowych i wielu surdutowych wyborców żydowskich była mocno podejrzaną. Widocznie głosowali oni, jak im kahał z pobudek, które jego tajemnicę stanowią, głosować kazał. W mojej obecności oddało głosu przynajmniej wyborców żydowskich, nie należących do inteligencji. Wszyscy oni mieli drukowane lub pisane karteczki, z których czytali zawsze dwa nazwiska: pp. Małachowskiego i Ciuchcińskiego, często przekręcając je niemiłosiernie, np. dr. Gołuchowski i Dziechciński. Wiem zresztą, że jednemu z kandydatów, który niewielką tylko ilość głosów otrzymał, w przeddzień wyborów faktor specjalista proponował 500 głosów po 6 guldenów za sztukę, ale został wyrzucony za drzwi.

Lepsze byłyby niewątpliwie kandydatury żydowskie, niż takie korzystanie z praw obywatelskich, demoralizujące zarówno w wbióranych, jak i wyborców — i wtedy, kiedy pierwsi kupują a drudzy sprzedają głosy, i wtedy, gdy pierwsi starają się o względy kahału a drudzy słuchają ślepo jego rozkazów.

J. L. Jastrzębiec.

ŻYCIE UMYSŁOWE.

Przemówienie p. Wróblewskiego i uwagi *Dziennika krakowskiego*. Kilka słów *pro domo mea*, o obskurantyzmie i o Żydach. Kultura narodowa i cywilizacya. Dla czego w Galicyi ta sprawa szczególnie jest ważną.

Życie umysłowe Galicyi nie wiele może dostarczyć kronikarzowi materyału. Całą uwagę publiczności inteligentnej i prasy pochłaniają zadania realne, sprawy bieżące. Po za polityką i sprawami ekonomicznymi, właściwie gospodarczymi, zajmują się trochę ludzie wykształceni literaturą piękną i sztuką, ale bardzo nie wiele. Rozprawy w towarzystwach naukowych interesują i przyciągają zazwyczaj tylko specjalistów. Podówczas gdy w Warszawie i wogóle w zaborze rosyjskim ogół wykształcony za dużo poświęca czasu i uwagi przeróżnym »kwestynom« i zagadnieniom teoretycznym, lekceważąc tę rzeczywistą pracę publiczną, która tam jest jeszcze możliwą, w Galicyi na wszelką »ideologię« nawet ludzie rozumni patrzą zwykle pogardliwie lub podejrzliwie.

Jest to dowodem, że warunki życia publicznego są tu bardziej normalne. Ale normalność, jeżeli tak można powiedzieć, nadmierna, nie jest wcale ideałem zdrowia duchowego. Człowiekowi pojedynczemu i społeczeństwu potrzebnem jest czasem przekroczenie normy, naruszenie codziennego porządku zajęć prywatnych lub publicznych. Wiedza specjalna, wrażenia estetyczne, w małej zresztą ilości odbierane, nie mogą wypełnić treści życia.

Nietylko dlatego życie duchowe tak jest jałowem, że polityka wszystko i wszystkich pochłania, ale i dlatego że warstwa inteligentna właściwie powstaje tu dopiero, znaczna jej część bowiem ledwie w pierwszym pokoleniu korzysta z wyższej kultury umysłowej i obyczajowej.

Zadaleko by mię zaprowadziło szczegółowe wyjaśnianie i uzasadnianie przyczyn tego stanu rzeczy. Zaznaczam tylko fakt, niejednokrotnie stwierdzony, że życie umysłowe w Galicyi jest bardzo ograniczonym i jałowem, bo zaczyna wytwarzać się ta atmosfera, w której ono bujnie i szeroko będzie się mogło rozwijać.

Tę atmosferę sami musimy wytworzyć, bo znikąd ona nie napłynie, a gdybyśmy ją nawet sobie sprowadzili, okazałaby się dla naszych umysłów nieodpowiednią.

Młodzież jedynie — co jest objawem zupełnie zrozumiałym — obchodzi więcej niż ludzie dojrzałych zagadnienia teoretyczne. Wyłączne zwrócenie ku nim działalności młodych umysłów jest szkodliwym, bo odrywa je od rzeczywistości i przechodzi w doktrynerstwo, ale równie szkodliwym jest całkowite ich pomijanie i lekceważenie. Pogłębianie praktycznych zadań życia politycznego i społecznego jest koniecznem. Kto płytko orze, może mieć jeden plon dobry, ale drugi i następne będą coraz lichsze.

Jedno z takich zagadnień, pogłębiających pojmanie sprawy, która żywo obchodzi dziś wszystkich, sprawę politycznego i społecznego wyzwolenia się ludu, poruszył w swem przemówieniu na wieczorku Mickiewiczowskim prezes czytelnicy akademickiej we Lwowie p. Wróblewski. Z przemówienia tego, odznaczającego się śmiałym polem wyobraźni, przytoczę tu kilka tylko wyjątków, streszczających jego myśl przewodnią.

Zaznaczywszy, że młodzież, ucząca się w uniwersytecie lwowskim należy z przekonania i uczucia do stronnictwa ludowego, p. Wróblewski, jako przedstawiciel ludzi, których zadaniem w przyszłości być musi, obok pracy zawodowej i obywatelskiej, obok działalności politycznej i społecznej, wytwarzanie idealnej treści życia narodowego — sięgnął głębiej i starał się wykazać jaki wpływ rozbudzenie się ludu mieć może i powinno na umysłowość naszą.

»Faktem jest — powiedział — że w życiu naszym narodem zaciera się coraz bardziej to, co się nazywa kulturą narodową.

»Pozwoliliśmy naszej nauce, naszym systemom wychowawczym, naszej beletryście nawet wziąć w siebie tyle pierwiastków sprzecznych z duchem narodu, że wynaradawianie nas odbywa się często już nie na tle języka, ale przez przeistaczanie nam ducha.

»Mówiło się wczorajszej doby: ratujmy byt niepodległy. Dziś do tego hasła potrzeba dodać inne, trzeba je przyjąć niemal za dogmat warunkujący istnienie nasze: ratujmy kulturę narodową.

Mowa p. Wróblewskiego nie podobała się *Dziennikowi krakowskiemu*. Po kilku ironicznych, dosyć nawet słusznych, ale w danym wypadku niestosownych

uwagach, *Dziennik* przytoczywszy wyżej podane wyjątki z mowy, taką dodaje uwagę:

»Mamy przed sobą typowy przykład ludowca-entuzjasty, ludowca ideologa. Komuż słowa powyższe nie przypomną ideologii rosyjskich »narodników« i marzeń grupy, która ongi zbierała się około warszawskiego *Głosu*? Oni z ludu zrobili dogmat najwyższy, z etnograficznych jego właściwości — przykazania, z jego ducha, pragnień i dążeń — jedyne kryterium, jedyną treść żywota nietylko własnego, lecz całego narodu. Konsekwentnie wyciągnęli z tego niechęć i wzgardę ku cywilizacji zachodniej, a w rezultacie dochodzili do największego obskurantyzmu«.

Muszę tu dać kilka wyjaśnień w sprawie poniekąd osobistej, ale jak się okaże, ściśle związanej z tem, co dalej powiem.

Dziennik krakowski powtarza zestawienie, nie nowe zresztą, ale bynajmniej nie uzasadnione, ideologii »narodników rosyjskich« i programu *Głosu*. Ponieważ w prasie warszawskiej nie można było na to odpowiedzieć, skorzystam teraz ze sposobności i zaznaczę, że między tymi dwoma kierunkami umysłowymi i społecznymi leży cała przepaść. »Narodnicstwo« rosyjskie jest kierunkiem mistycznym i przypomina raczej nasz romantyzm demokratyczny w epoce od 1840 do 1850 r. Publicysta krakowski, który nie ma widocznie pojęcia o »narodnikach rosyjskich«, a bardzo niedokładne wiadomości o dawnym *Głosie* warszawskim, nie potrafi wskazać w tem piśmie ani jednego dowodu »niechęci i wzgardy ku cywilizacji zachodniej«. Jest to zarzut niesłuszny, który byłby nieuczciwym, gdyby zrobiono go z zupełną świadomością.

Nie chodzi mi o obronę tej grupy ludzi, *quorum magna pars fuit*, przed sądem *Dziennika krakowskiego*. Inny, może nawet surowszy, ale niewątpliwie poważniejszy wyrok wyda kiedyś w tej sprawie historyk naszej umysłowości i naszych ruchów społeczno-politycznych. Cenzura mogła zamknąć pismo, żandarmi mogli rozpędzić ludzi, którzy je wydawali, ale taki *coup de theatre* w stylu rosyjskim nie mógł pozbawić życia — nie powiem stronnictwa, ale prądu umysłowego i społecznego, którego *Głos* był organem, ani programu, któremu *Dziennik* łaskawie pogrzeb wyprawia, nazywając go w wspomnieniu pośmiertnym »marzeniami«. Jeżeli *Dziennik* przestanie wychodzić, to — chcę być grzecznym — ubędzie dobre i pożyteczne pismo, ubędzie jeden z wielu, dajmy na to, od wielu ważniejszy, posterunek dziennikarski i literacki, i po za tem nie więcej. Co innego *Głos* — który wytworzył w społeczeństwie odrębny kierunek społeczny i polityczny, poniekąd nawet umysłowy; w którym i na którym zaprawiała się do życia obywatelskiego znaczna część młodszej inteligencji; który nietylko pobudzał ludzi do pracy dla ludu i nad ludem, ale tę pracę czynnie nieraz popierał i organizował. Program *Głosu*, te »marzenia«, jak je nazywa *Dziennik*, nie rozwiały się po zamknięciu pisma i usunięciu od działalności dziennikarskiej tych, co je wydawali: mają one siłę żywotną i twórczą, zapładniającą pracę społeczną ludzi, którzy je podzielają, ożywiająca najwybitniejsze dziś talenty młodego pokolenia pisarzy polskich. Te »marzenia« oddziaływały nietylko w zaborze rosyjskim, ale odbijają się dziś echem donośnym i w zaborze pruskim i w Galicyi.

Rozpisałem się o tem, bo jakkolwiek działalność *Głosu* nie miała bezpośredniego wpływu na rozbudzenie ruchu ludowego w Galicyi, to jednak ludzie, a raczej jeden człowiek, który nie powiem stworzył, bo ru-

chów politycznych się nie stwarza — ale wcześniej niż inni zrozumiał doniosłe znaczenie tego zjawiska społecznego i szybki rozwój jego przewidział, który ruch ten wy dobył na jaw, nadał mu pęd i zorganizował, należał do nas myślą i uczuciem, dążenia nasze podzielał, nawet wcześniej od nas próbował je naukowo i politycznie sformułować. I jeżeli stronnictwo ludowe w Galicyi zechce działalność swoją pogłębić, a w bliższej przyszłości uczynić to musi, zechce dążenia swoje teoretycznie uzasadnić, dać im »podkład ideowy« — to z pewnością weźmie to wszystko, co istotną część programu *Głosu* stanowiło, zmieniając i odrzucając to tylko, co w innych warunkach miejsca i czasu zmienić i odrzucić należy.

I p. Wróblewski niewątpliwie, z całą gromadą młodzieży, której poglądy i przekonania wyraża jest wychowawcem duchowym *Głosu*, a raczej kierunku umysłowego i społecznego, jakiego *Głos* był organem, chociaż w przemówieniu swem samodzielnie rozwinął myśl, dorywczo tylko w tem piśmie ze względów cenzuralnych poruszana. Mam więc poniekąd obowiązek stanąć w jego obronie i wyjaśnić obawę *Dziennika krakowskiego*, że te poglądy, które p. Wróblewski wygłosił dorowadzić go mogą do »obskurantyzmu«.

»Obskurantyzmem« jest, najogólniej rzecz biorąc, zaciemnianie sobie umysłu przesądami i formułami, chociażby naukowymi, chociażby stanowiącymi »ostatnie słowo« wiedzy i prądów liberalnych. Ale *Dziennik krakowski* ma własne pojęcie »obskurantyzmu« i mówiąc n. p. o »obskurantyzmie« *Głosu* ma na myśli niewątpliwie rzekomy antysemityzm tego pisma.

Powiadam — rzekomy, bo właściwie ów antysemityzm polegał na tem, że *Głos* mówiąc w sprawie żydowskiej i o Żydach, nie krępował się żadnymi względami ubocznymi, żadnymi formułami utartymi; ale chociaż zwalczał szkodliwe wpływy sejmickie we wszystkich dziedzinach naszego życia, nie pochwalał nigdy ograniczeń i praw wyjątkowych, nie zabarwiał swoich poglądów domieszkami wstecznymi i klerykałnemi.

Wyznawałem zawsze zupełną swobodę krytykowania nietylko pojęć powszechnie przyjętych, chociażby najbardziej postępowych, ale i swobodę krytykowania Żydów i mówienia im w oczy tego, co myślę.

Otóż i teraz powiem szczerze publicyście z *Dziennika krakowskiego*, że są sprawy, w których Żydzi chociaż mają takie same, jak inni prawo, nie powinni zabierać *Głosu*, bo nie mogą o nich sądzić sprawiedliwie i bezstronnie. Taką właśnie jest sprawa, którą p. Wróblewski poruszył. Naród żydowski wskutek warunków historycznych nie mógł rozwinąć samodzielnie swojej własnej kultury. Już w zaraniu swego życia historycznego, nietylko w Babilonii i Egipcie, ale nawet w ojczyźnej Palestynie przyjmowali Żydzi formy kultury obcej. Znamy wytwór ich myśli religijnej — Biblię, ale nie znamy wcale zabytków ich kultury materialnej, wyraźnych śladów ich kultury obyczajowej. Z bardzo szczupłym zosobem własnej kultury rozproszyli się po świecie i żyjąc w odosobnieniu, wytworzyli sobie wprawdzie kulturę odrębną, ale z konieczności w zakresie bardzo ograniczonym. Każdy Żyd wykształcony i zajmujący wyższe stanowisko społeczne, jeżeli nawet zachowuje swoje właściwości plemienne i swój patriotyzm, kulturalnie Żydem zostać nie może, musi być Polkiem, Francuzem, Niemcem i t. d. Przejmując z niezwykłą łatwością obcą kulturę, nie może ani odczuć, ani nawet czasem zrozumieć należycie, jak ważnym jej czynnikiem jest samodzielność, czyli inaczej narodowość.

Zydzi w tej sprawie grzeszą, że tak powiem daltonizmem socyologicznym i dopiero w drugim lub trzecim pokoleniu, wychowanem w pewnej kulturze, pozbyć się mogą tej wady, która nie jest w nich chyba wadą organiczną.

Teraz dopiero przejść mogę do uwag, które nasu-
nęło *Dziennikowi krakowskiemu* przemówienie p. Wróblewskiego. Ponieważ mam do czynienia z przeciwnikiem inteligentnym, a sędziami będą — spodziewam się — inteligentni czytelnicy, załatwię się z tą sprawą krótko.

Sądzę, że gdyby autor tego artykułu pisał nie do dziennika, t. j. pospiesznie, ale do pisma miesięcznego lub tygodniowego a więc zastanawiał się nieco dłużej i ściślej wyrażał swoje myśli nie byłoby między nami nieporozumienia. i nie byłoby może obawy, że młody mówca chce zniżyć poziom naszej umysłowości i odgradzić nas od cywilizacji europejskiej. P. Wróblewski nie mówił wcale o cywilizacji, mówił tylko o kulturze, a dwa te pojęcia należy odróżniać. Kultura zawsze jest narodową i inną być nie może, chociaż zdarza się czasem, że jakiś naród przyjmuje formy kultury obcej. Niema kultury zachodniej lub europejskiej, a tymbardziej ogólnoludzkiej, ale jest kultura, angielska, francuska, polska, chińska, nawet dachmowska i. t. d. Jeżeli mówimy o kulturze europejskiej, to mamy na myśli pewne tylko, wspólne właściwości kultury polskiej, francuskiej, angielskiej. Nie można przeciwstawiać kultury zachodniej — naszej kulturze, bo np. kultura angielska bardziej się bodaj różni od francuskiej, niż nasza od niemieckiej.

Natomiast nie ma właściwie cywilizacji narodowej. cywilizacja jest wspólnym dorobkiem wszystkich narodów, nawet t. zw. niecywilizowanych, wytworem zbiorowej pracy myśli ludzkiej. Niewątpliwie »główne prądy cywilizacji naszej (?) przyszły z zachodu « ale my je przystosowaliśmy do naszych warunków i wtedy dopiero stały się w zewnętrznych swoich objawach właściwościami naszej kultury. Czyż nasze chrześcijaństwo pod względem kulturalnym, a więc w oddziaływaniu na umysłowość narodu, moralność, obyczaje, twórczość poetycką, sztukę — nie jest np. innem, niż chrześcijaństwo hiszpańskie lub angielskie? Pozytywizm, jako doktryna filozoficzna i społeczna jest prądem cywilizacyjnym. Wiadomo jak ten prąd przekształcił się w naszych warunkach w »pozytywizm warszawski,« który miał dla nas większe i zupełnie inne znaczenie aniżeli nauka Comte'a. Darwinizm, zupełnie inaczej oddziałał na umysłowość angielską, inaczej na niemiecką a inaczej na naszą, na francuską zaś nie wywarł prawie żadnego wpływu, chociaż we Francji dużo więcej było wyznawców naukowej doktryny Darwina, niż u nas.

Powinniśmy oddychać całą pierśią, wchłaniać w siebie wszystkie prądy cywilizacyjne. Ale nie przejmować — tylko je przyswajając sobie, w sobie przetrawiać i przerabiać. A oprócz wchłaniania i przetrawiania prądów cywilizacyjnych praca, która dąży do podniesienia kultury narodu, ma inne jeszcze ważniejsze bodaj zadanie. Powinna ona olbrzymią masę materiału surowego, jaki przedstawia pierwotna i w znacznej mierze samodzielna kultura ludu, przerobić, nadać tej kulturze wyższe formy, których tylko ogólne zarysy cywilizacja wskazuje, ale których w szczegółach nie określa. W tem zaś przekształceniu form niższych w wyższe, doskonalsze trzeba jednak zachować ich rozmaitość i oryginalność. *Homo sum* -- powiada na zakończenie swych uwag *Dziennik krakowski*. Tak, *homo sum et nil humanum a me*

alienum esse puto, ale czyż tylko prądy cywilizacyjne i doktryny naukowe na nazwę *humanum* zasługują? Zresztą w sprawach kultury nie ma szablonowego wszechczłowieka *Polonus sum et nil poloni a me alienum esse puto*, a skoro jestem *Polonus*, to ma się rozumieć, i *homo*, więc nie ma obawy, żebym rozwijając i pielęgnując swoją polskość, wyzbywał się ludzkości.

Dużo by jeszcze można i należałoby w tej sprawie powiedzieć, ale odłożył to muszę do następnej kroniki. Powtórzę tylko na zakończenie, że sprawa »narodowienia« kultury w Galicyi jest szczególnie ważną, warstwa inteligentna bowiem składa się tu w znacznej części z ludzi, którzy dopiero w pierwszym lub drugim pokoleniu są Polakami i to nie zawsze z dobrowolnego wyboru, ale często ze względów praktycznych lub po prostu z przypadku. Ludzi tych kształci i wychowuje szkoła, która z ducha, z programu, ze sposobu nauczania, powiedziałbym nawet z języka polskiego używanych w niej podręczników i. t. d. jest szkołą niemiecką. Tu już nietylko kulturę narodową trzeba mieć na względzie, ale i coś więcej jeszcze.

J. Nieborski.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 26 listopada.

Nowy zamach. Książki polskie tytułowane po rosyjsku. P. Jan-
kullo czy departament prasy? Co zrobią wydawcy? Wyprawa
dziennikarza rosyjskiego do Polski.

W chwili największego ożywienia ruchu księgarskiego, poprzedzającego święta Bożego Narodzenia, wydawców naszych spotkała oryginalna niespodzianka. Ni ztąd ni zowąd cenzorowie warszawscy poczęli wracać nadsyłane im rękopisy książek z żądaniem, ażeby te prócz tytułu polskiego nosiły i rosyjski. Śród nieprzygotowanych wydawców zapanał popłoch, a w ruchu wydawniczym nastąpiła chwila przerwa. W danej chwili niewiadomo, jaki będzie dalszy przebieg i koniec tej sprawy

Niejednemu z czytelników trudno będzie odrazu tej wiadomości uwierzyć, istotnie bowiem wygląda nieprawdopodobnie; ja sam wątpię, czybym przyjął ją zdaleka za dobrą monetę. Jaki cel, jakie logiczne i prawne uzasadnienie tego nowego kroku? Do czego ten nowy gwałt prowadzi?

Otóż cel jest zawsze jeden: zbliżyć nas jak najbardziej z rdzenną Rosyą, rząd bowiem rozumie dobrze, iż zadania tego nie można składać wyłącznie na naszych »ugodowców«, że obok nich muszą energicznie pracować »obrusitiele«. Co zaś do uzasadnienia, to trzeba pamiętać, iż rząd tego rodzaju, co rosyjski, ma do swego rozporządzenia nietylko miliony bagnietów, nietylko nieograniczone fundusze dyspozycyjne, ale i prawo, i logikę.

Rzecz się ma, jak następuje:

Istnieje przepis, odnoszący się do książek wydawanych w językach »inorodczeskich**), ażeby dla ułatwienia kontroli inspektorom prasowym, nie znającym tych języków, drukowano na nich tytuły w języku rosyjskim. Przepis ten w państwie, gdzie swoboda słowa tak jest skrupowana, gdzie nad wszelkimi drukami istnieje tak ścisła kontrola, ma pewne uzasadnienie w tem, że urzędnicy państwowi posiadają bardzo skromną znajomość języka

*) »Inorodcami« nazywane są w Rosji plemiona wschodnie, fińskie i mongolskie, zamieszkujące w granicach państwa rosyjskiego i żyjące podziśdzien w stanie barbarzyństwa *Przyp. autora*.

Baszkirów, Tatarów i t. p. Urzędnicy wszakże rosyjscy mają szczególną zdolność stosowania jednego i tego samego przepisu do rozmaitych, całkiem różniących się od siebie celów. W Polsce n. p. lub w prowincjach nadbałtyckich nie może być mowy o tem, ażeby jakikolwiek urzędnik, przeznaczony do kontrolowania wydawnictw, nie posiadał języka krajowego, tu polskiego, tam niemieckiego, niewątpliwie też departament prasy ma i w Petersburgu odpowiednią ilość ludzi znających te języki, których chyba żaden szowinista moskiewski, żaden nieuk-seminarzysta nie ośmieli się nazwać „*inorodczeskimi*“. Nikomu więc nie przychodziło do głowy, żeby przepis ten mógł być u nas zastosowany. Tymczasem na jednym z posiedzeń warszawskiego komitetu cenzury prezes jego, p. Jankulio, zawiadomił cenzorów, iż na zasadzie tego przepisu mają dalej nie puszczać wcale książek polskich bez rosyjskich tytułów. Gdy mu ktoś zwrócił uwagę na niewłaściwe zastosowanie przepisu, oświadczył, iż rzecz całą bierze na swoją osobistą odpowiedzialność. P. Jankulio utrzymuje, iż otrzymał odpowiednie polecenie od departamentu prasy z Petersburga, rozporządzenia tego jednak nikomu nie chce pokazać, choć, z drugiej strony, niewątpliwą jest rzeczą, iż tak ważnego kroku na własną rękę nie uczynił, że działa w porozumieniu przynajmniej z kancelaryą generała gubernatora.

Z początku zastosowano przepis i do nut, z tem się jednak zaraz cofnięto, ograniczając się do wydawnictw książkowych.

Nowy gwałt nie jest wywołany żadnymi potrzebami kontroli prasowej — jedyną do niego pobudką jest to, co popchnęło Apuchтина do ohydnej zeszpecenia pałacu Staszica, co zrodziło w Hurce pomysł soboru na placu Saskim. Jak tym chodziło o to, żeby na najwydatniejszych punktach Warszawy wznieść pomniki moskiewskiej »kultury«, tak tu występuje zamiar wycisnięcia moskiewskiego piętna na tem, co nam po zabraniu wszystkich instytucji zostało, na polskiej książce.

Jak mi wiadomo, wydawcy warszawscy, nie ulegną temu pierwszemu naciskowi i z drukowaniem tytułów rosyjskich nie zechcą się śpieszyć. Istotnie byłoby niedorzecznością nie wypróbować wszystkiego, co może odwrócić nadużycie, nie udać się do departamentu prasy, a gdy to nie pomoże, nie wystąpić ze skargą do senatu. Publiczność dotąd dość jeszcze wie o fakecie, ale tam gdzie wiadomość już mała zdołała, wywarła ona wielkie wrażenie. Każdy powiada, że nie będzie kupował książek, opatrzonych rosyjskim tytułem.

W ostatnich dniach politykujące sfery warszawskie były zajęte osobą p. Amfiteatrowa, do nas wysłanego przez *Nowoje Wremia* dla poznania stosunków polskich. Dziennikarz ten, znany z korespondencji we wspomnianym dzienniku i podpisujący się „*Old Gentleman*“, zaczął już swój szereg artykułów p. t. „*Polszija w pieczatlieniija* (Wrażenia z Polski)“ — od wstępu, napisanego w tonie dość przyzwyczajonym, wreszcie różniącym się od panującego zwykłe w korespondencyach z Warszawy, jakimi prasa rosyjska pasie swych czytelników. Jest tam przedewszystkiem przyznanie się do tego, że Rosyanie o stosunkach naszych nie mają wielkiego pojęcia, a nas samych nie rozumieją i uznanie potrzeby bliższego obejrzenia Polaków.

Jak na prasę rosyjską, duży to postęp. Wątpliwa rzecz tylko, czy p. Amfiteatrow wiele się mógł nauczyć. Po pierwsze bawił bardzo krótko (wczoraj wyjechał). Potwóre zaś całe jego studia z konieczności musiały się ograniczyć do szeregu pogadanek z rozmaitymi ludźmi. Zrobił on tu trochę znajomości, przyjęto go w kołach, do których się zgłosił, i na sproszonych umyślnie zebraniach starano się zapoznać go z tem, co się u nas dzieje. Ktoś mi

opowiadał, że na jednym z zebrań zapoznawano rosyjskiego dziennikarza z apuchtinowskim systemem szkolnym. Miał on powiedzieć, że wszystko to jest straszne, ale że jest tak nieprawdopodobne, iż on nie może temu uwierzyć, dopóki sam nie będzie mógł bezpośrednio poznać faktów. Nie na wiele więc przyda się praca tych ludzi, którzy p. Amfiteatrowa starali się w krótkim czasie o wszystkim pouczyć.

Dziennikarz rosyjski, pragnący poznać nasze stosunki i wiernie je przedstawić, powinien przyjechać do Polski *incognito* i, udając Polaka, pomieszkać czas jakiś w naszym kraju. W tej roli mógłby narówni z nami korzystać z dobrodziejstw rosyjskiego systemu rządzenia. Potem wystarczałoby tylko spisanie swych przygód i wrażeń. Tylko na taką publikację nie odważyłby się żaden dziennikarz rosyjski.

*
**

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Wybory do rady miejskiej. Nowe plany i nadzieje hakatystów. Taktyka obronna ugodowców. Sejmik związku spółek zarobkowych. Zmiana nazwy.

Poznań 27 listopada.

Wybory uzupełniające do rady miejskiej wypadły dla nas niepomysłnie, straciłszy bowiem jeden mandat. Ten rezultat niepomysłny nie wynika jednak z naszej winy, udział wyborców polskich był dosyć liczny, liczniejszy niż wyborców niemieckich. W jednym okręgu głosowało 80% naszych wyborców. Dodać trzeba, że oba nasze stronnictwa polityczne szły zgodnie do walki, w myśl bowiem zasady *getrennt marschieren vereint schlagen* komitet wyborczy stronnictwa ruchu ludowego zawarł kompromis z komitetem »narodowym«, właściwie komitetem wyborczym na miasto Poznań. Zaznaczyć ciekawszy fakt, że tym razem zerwało »solidarność narodową« kilku nieprzejednanych klerykałów i ugodowców, przeciwnych wszelkim kompromisom z »odstępcami«. Dwóch z tych panów zrzekło się godności członków komitetu wyborczego. Umowa jednak została zawartą i następnie uczciwie wykonaną.

Główną przyczyną naszej klęski było takie urządzenie okręgów wyborczych, że Polacy, którzy oddali 1600 głosów, przeprowadzili jednego radnego, Niemcy zaś, którzy mieli 1300 głosów — sześciu. Ale pobito nas nie tylko z tej przyczyny. Udział wyborców polskich był dosyć liczny, mógł być jednak liczniejszy, gdyby agitowano gorliwiej. Tymczasem, jak zgodnie stwierdzają wszystkie pisma demokratyczne, przedstawiciele inteligencji po mianowaniu kandydatów chyłkiem wynieśli się z walnego zebrania, zwalając cały ciężar pracy przedwyborczej na »młodszych braci« — rzemieślników i drobnych kupców, którzy robili, co się dało, ale nie mogli za siebie i za innych agitować, nie mając ani dosyć czasu wolnego, ani dosyć wpływu.

W okręgu, który straciłszy, miał nasz kandydat tylko dwadzieścia kilka głosów mniej, więc przy gorliwszej agitacji z pewnością by zwyciężył. Dodać trzeba, że nasz komitet wyborczy odrzucił kompromis ze stronnictwem wolnomysłnem, do którego należą przeważnie żydzi. Mieilibyśmy wprowadzić dwa mandaty pewne, ale dla pozyskania tego rezultatu nie warto było zrzekać się korzyści, jakie daje walka wyborcza, a wolnomysłni chcieli, żebyśmy wcale w klasie I i II nie stawiali swoich kandydatów.

Na zebraniu przedwyborczem panowała dziwna jakaś ospałość. Zgromadzeni wysłuchali w milczeniu oświadczenia prezesa komitetu, że Koło polskie w parlamencie

nie raczyło nawet dać odpowiedzi na uchwałę wyborców, żądającą usunięcia dotychczasowej, absolutnej tajności obrad i postanowień. Widocznie postąpili w myśl programu *Dziennika*, który dowodzi, że nie posłowie są dla przedstawiania żądań i interesów wyborców, ale wyborcy dla głosowania na kilkunastu panów, mających prawo robić co im się podoba.

Hakatyści, którzy przez jakiś czas byli ostrożniejsi i dali nawet wotum nieufności p. Hansemannowi, wystąpili przeciw lekarzom Polakom, dowodząc, za pomocą cyfr, że jest ich znacznie więcej, niż Niemców. Teraz znowu chodzą pogłoski o usuwaniu Polaków, nawet zajmujących niższe posady, ze służby kolejowej, jak się to już stało w Katowicach. Wiadomość, że w orędziu królewskim na otwarciu sejmiku ma być wzmianka, karcząca wrogą państwu agitację polską, dodała hakatystom otuchy. Wprawdzie oczekiwanego potępienia agitacji naszej nie było, ale okazało się, że zamiar podobny istniał, zaniechano go jednak, żeby nie mącić uroczystego tonu mowy tronowej. Odłożono więc tylko na stronę pioruny, którymi miał nas ugodzić ukoronowany Jowisz pruski. Spadną one zapewne w postaci jakiego rozporządzenia ustawodawczego. Hakatyści pokładają nadzieję na zapowiedzianą w mowie tronowej zmianę prawa o stowarzyszeniach. Niektóre dzienniki dowodzą, że po uchwaleniu przez sejm projektowanej noweli nie wolno będzie używać na zebraniach politycznych języka polskiego. Inne żądają, żeby zakaz mówienia po polsku rozciągnąć na wszelkie zebrania publiczne. »Gdyby w noweli do prawa o stowarzyszeniach rzeczywiście przyjęcie miało do ograniczenia języka polskiego na zebraniach, zakaz taki byłby jedynym w swoim rodzaju na całym świecie. Nawet w Rosji Niemcy nadbałtyccy w zebraniach swych, obradujących nad sprawami publicznymi, używają języka niemieckiego. A gdyby na zebraniach niepolitycznych stowarzyszeń na przyszłość tylko język niemiecki miał być dozwolonym, wtedy pomijając już Polaków, Duńczyków, Litwinów, Wendów i t. d., licznie w Berlinie zamieszkałi Anglicy, Francuzi, Włosi, Rosyanie i t. d. w klubach swych i na zebraniach związkowych nie mogli by używać swego języka ojczystego«.

Wszystko to prawda, ale czyż nie ma u nas praw i urzędzeń »jedynych w swoim rodzaju na całym świecie«, jak n. p. komisya kolonizacyjna? Byłby to niewątpliwie zakaz barbarzyński, powinniśmy być jednak i na to przygotowani i zawczasu myśleć o środkach zaradczych.

Nasi wielcy politycy myślą zażegnać niebezpieczeństwo pokorą. Koło polskie wobec pogroźek dzienników hakatystowskich podobno — cofnęło zamiar interpelowania w sprawie opalenickiej i w sprawie zmiany barw prowincjonalnych, żeby nie sprawiać przykrości rządowi i nie rozjątrzać przeciwników. P. Stanisław Chłapowski w liście otwartym p. t. *An meine deutsche Collegen und Freunde* tklwie przemawia do Niemców, których *Kuryer* i *Dziennik* starają się przekonać, że prześladowania tylko rozbudzają świadomość narodową. Z tych naiwnych ostrzeżeń drwią sobie Niemcy ironicznie pytając: »Jeżeli prześladowania przynoszą wam istotnie taką niewątpliwą korzyść, która wszelkie drobne przykrości wynagradza, to dla czego się na nie skarżycie«?

W tych smutnych i niepewnych czasach dostarczył nam jedynie pocieszających wrażeń sejmik Związku spółek zarobkowych. Rozwój tych spółek świadczy poniekąd o rozwoju naszej samodzielności ekonomicznej, są one naszym dorobkiem rzetelnym. Na podstawie drukowanego sprawozdania napiszę kiedyś obszerniej o działalności tych pożytecznych instytucji, teraz zaznaczę tylko, że do Związku należy 24 spółek w Prusiech Zachodnich i 72 w Księstwie.

W ostatnich czasach zjawiały się znowu dosyć często rozporządzenia o zmianie polskich nazw miejscowości na niemieckie. Wynikają czasem z tego ciekawe sprawy. Władza administracyjna nakazała wieś Żytowiecko nazywać Seide. Właściciel zaprotestował, wytoczył proces, przeprowadził go przez wszystkie instancje i uzyskał wyrok sądu rzeszy, przywracający nazwę Żytowiecko. Tymczasem władza postarała się o rozkaz gabinetowy, nadający wsi urzędową nazwę Seide. Zjawia się teraz pytanie: co zwycięży w »państwie prawa« — powaga sądu czy samowola administracyi, poparta przez samowolę najwyższą?

J. M.

Z GALICYI,

Lwów 29 listopada.

Reforma gminna. Dwa sprzeczne kierunki. Reskrypt hr. Bade-niego. Odpowiedź *Naprzodu*. Piotr Włazło charakter polityczny nieproszonych protektorów. Jeszcze ks. Stojałowski. Okólnik tarnowskiego biskupa o kłatwie.

Jeżeli uroczyste zapewnienia rządu tym razem nie zawiadą, to piekąca sprawa reformy gmin wiejskich w Galicyi niedługo już oblecze się w szaty projektu ustawodawczego. Niewiadomo tylko, co się pod temi szatami kryć będzie, czy treść zdrowa i jedrna, czy też marny płód dążeń stronniczych, choć pozorami jakiejś głębszej myśli politycznej starannie upstrzony. Dopiero, gdy noworodek ujrzy światło dzienne, będzie można wydać o nim sąd stanowczy i przedmiotowy. Dziś stwierdzić jeno wypada, że dotychczasowy przebieg tego procesu twórczego nie tylko do zbyt różowych nadziei nie usposabia, ale wręcz wywołuje obawę, że jedna z najdonioślejszych dla kraju reform, mająca jego ustrojowi autonomicznemu dać silną i trwałą podwalinę, będzie dziełem poronionem, co gorsza szkodliwem, że stanie w rażącej sprzeczności z zapatrywaniem i wolą ogółu, najwięcej w tej sprawie interesowanego.

Dzisiejszy stan gmin galicyjskich nikogo zachwycać ani zadowalniać nie może. Że się w nich na ogół źle dzieje, że gminy wiejskie nie wywiązują się należycie z istotnych swych zadań, że nie spełniają skutecznie spraw ani własnego, ani t. zw. »poruczonego« (im przez państwo) zakresu działalności, poprostu dlatego, że nie posiadają pod żadnym względem dostatecznych sił, rozumie to i odczuwa najlepiej, bo na własnej skórze, sam lud wiejski. Oddawna też, a właściwie już od chwili ogłoszenia ustawy gminnej z r. 1866, dotąd obowiązującej, z kół włościańskich odzywało się żądanie gruntownej, radykalnej naprawy. Zrazu nieśmiało podnoszone hasło, powracając potem stale przy każdej nadarzonej sposobności, urosło z czasem w siłę, ogarniało coraz to szersze masy, zawiązało wreszcie jak istna *vis maior* nad Sejmem, po ostatnich, zeszlorocznych wyborach. I jak ubiegła kadencya Sejmowa przekazała po sobie pamięć uporządkowanych finansów krajowych, tak nie ulega już żadnej wątpliwości, że obecna, pod znakiem reformy gminnej, która nad wszelkimi innymi zadaniami chwilowo góruje, przejdzie do historyi.

Potrzebę reformy, konieczność jej, uznają dziś nawet ci, którzy niedawno jeszcze ze wstrętem odsuwali od siebie myśl jakichkolwiek zmian. Powszechna zgoda na to, że »tak dalej być nie może«, — co do sposobu przeprowadzenia jednak reformy, zarysowały się poglądy i dążenia wprost sprzeczne.

Lud wiejski widzi jedyny, naturalny, skuteczny i prosty sposób zreformowania gminy w zniesieniu t. zw. obszarów dworskich i wcieleniu ich do związku gminnego. Żąda

usunięcia anomalii, jaką faktycznie przedstawiają »obszary« będące jednostkami odrębnymi i samodzielnie, które w wszelkich urządzeniach gminnych w pełni korzystają, a żadnych w zamian nie ponoszą ciężarów. Spodziewa się, że przez połączenie zupełne i postawienie »obszarów« na równi z gminami, gospodarka gminna zyska silniejszą podstawę materalną i podniesie się, choć nie wszędzie, w znaczeniu intelektualnym. Domaga się wreszcie zniesienia odrębności obszarów dworskich przez wzgląd na sprawiedliwość społeczną i równość wobec prawa. Tak rozumuje zdrowy, chłopski rozum.

Argumenty te wszakże nie przemawiają do przekonania szlachy, która w polityczną i administracyjną odrębność dworów wierzy, jak w dogmat. Konserwatyzm szlachecki broni uprzywilejowanego stanowiska dworu polskiego w Galicyi, wskazując na jego znaczenie cywilizacyjne, kulturalne, społeczne i narodowe, a równocześnie zamilcza o tem, że większa posiadłość galicyjska z przerażającą szybkością zdydzieje i sprzeniewierza się tem samem owej wielorakiej misji, o jaką ją posiadają. Pod naciskiem konieczności szlachta decyduje się ostatecznie przyłożyć rękę do reformy gminnej, byleby tylko odrębność »obszarów« wyszła z niej cało. Projektuje więc w zasadzie rzecz słuszną, t. j. oparcie gmin przyszłych na szerszej podstawie ludnościowej, stworzenie t. zw. gmin okręgowych czyli zbiorowych, równocześnie atoli nie chce nic słyszeć o uszczupieniu własnych swych przywilejów, przeciwnie dąży do rozszerzenia ich przez to, że zastrzega sobie wpływ większy jeszcze niż dotąd, bo bezpośrednio na gminę, a do żadnych ciężarów ani obowiązków w obec niej poczuwać się nie zdradza ochoty.

Oba powyższe kierunki skryształizowały się w Sejmie w znanych wnioskach Potoczka i Dunajewskiego. Pierwszy wyrażał wolę ludu, drugi określał stanowisko szlachty. Druga, formalna, niemniej ważna i do pewnego stopnia zasadnicza różnica między nimi polegała na tem, że gdy lud we wniosku Potoczka żądał autonomicznego przeprowadzenia reformy przez Sejm i Wydział krajowy, »autonomiści« z Dunajewskim na czele odwołali się wprost do rządu z prośbą o wypracowanie projektu i przedłożenie go Sejmowi.

Wmieszanie rządu centralnego do sprawy na wskróś autonomicznej, było ze strony konserwatystów galicyjskich »kawałem« dość sprytnie pomyslanym. Wiedzieli, że występując wprost z projektem gmin zbiorowych, i przeprowadzając go w Sejmie, którego większości rozporządzają, ściągąliby na siebie nowe, sprawiedliwe gromy. Całe »odium« za faktyczne narzucenie krajowi projektu, wielce dla ogółu ludności niepopularnego, byłoby spadło na nich. Chodziło im więc o zrzucenie z siebie odpowiedzialności za reformę, którą i tak po swojej myśli przeprowadzić mają nadzieję i zwanie jej na kogokolwiek bądź innego. Byliby może woleli posłużyć się znowu lewicą sejmową, »demokraci« jednak tym razem nie dali się wziąć na łep. Pozostał więc jako jedyny kandydat na kozła ofiarnego rząd, na którym konserwatyzm galicyjski, jak wiadomo, buduje w każdej cięższej potrzebie — i rząd, trzeba przyznać, nie zawiódł pokładanej w nim ufności.

Na posiedzeniu 7 lutego b. r. zapadła w Sejmie uchwała, z wnioskiem Dunajewskiego zgodna, a już w jesienu, więc stosunkowo szybko, minister spraw wewnętrznych reskryptem zawiadomił namiestnictwo lwowskie, że jest gotów odegrać powierzoną mu rolę i podjąć inicjatywę, jakiej się Sejm od niego domaga, zapewniając nadto, że starać się będzie usilnie o jak największe przyspieszenie akcyi.

Reskrypt ten, ogłoszony w dziennikach, aczkolwiek stwierdza, że dotychczasowe materiały ustawodawcze są bardzo niedostateczne i wymagają uzupełnienia, określa

wszakże obecnie już »te punkty widzenia, z których rząd zamierza podjąć reformę«, — treść jego przeto zasługuje na bliższą uwagę.

Minister spraw wewnętrznych (w Austrii jest nim zarazem prezes ministrów) pojmuje gminę, jako najniższą jednostkę, wyłącznie administracyjną, a cel reformy upatruje w utworzeniu rękojmi, aby czynność tej jednostki była prawidłową i skuteczną. »Jakkolwiek dotyczy to przede wszystkim t. zw. poruczonego zakresu działania, to jednak i po za nim istnieje szereg agend, wykonywanych przez gminę w interesie publicznym i w zastępstwie państwa, chociaż ustawa zalicza je do własnego zakresu działania gminy«.

Zdaniem rządu otwierają się tu dwie główne drogi działania. Albo — wspomniane agendy wyłączyć po prostu z autonomicznej organizacyi gmin i przelać na władzę rządową, albo — rozwiązać kwestyę w ramach samych urzędzeń autonomicznych, przez dalsze ich ukształtowanie. Pierwsza droga — czytamy w reskrypcie — byłaby może krótszą i skuteczniejszą, ale nie dałaby tych korzyści, które w interesie administracyjnego wyćwiczenia, a pośrednio i politycznego wykształcenia szerokich kół ludności przedstawia samorząd, na zdrowych oparty zasadach i przystosowany rzeczywiście do praktycznych potrzeb życia. Jeżeli więc opinia publiczna w kraju — jak się okazuje z obrad i uchwał sejmowych, — pragnie, aby reformę przeprowadzono bez zachwiania autonomicznej podstawy organizacyi gminnej, to i rząd niema powodu występować przeciw podobnej tendencji.

Urzeczywistnienie tej myśli wydaje się atoli rządowi możliwem »tylko w ten sposób, że z obecnych gmin i obszarów dworskich utworzone będą nadto, dla ściśle określonych celów administracyjnych, odrębne organizmy administracyjne«. Rząd też bez zastrzeżeń zgadza się na ów kierunek główny, który Sejm przyjął w swej uchwale z 7 lutego b. r.

Dopiero jednak szczegółowe ukształtowanie reformy — wyjaśnia w dalszym ciągu reskrypt, — nadać jej może piętno właściwe i wartość. O jej sukcesie lub niepowodzeniu rozstrzygać będą szczegółowe postanowienia, więc: obszar przyszłych związków gminnych, kwalifikacya ich organów administracyjnych, sposób ustanawiania tychże, ich zakres działania, podporządkowanie pod władzę nadzorczą, stosunek do naczelników gminnych itp. Wreszcie zasadniczą jest kwestyja kosztów reformy i ich oddziaływanie na istniejące ciężary gminne.

Przy tworzeniu związków nie można w żadnym razie postępować w sposób szablonowy: liczba ludności n. p. nie może być wyłączną podstawą tych urzędzeń, trzeba będzie między innymi uwzględnić konfiguracyę powiatu, stosunki komunikacyjne, gęstość zaludnienia, już istniejące urzędzenia administracyjne, ewentualnie względy tradycynej przynależności itp. W tym więc kierunku ministerstwo żąda uzupełnienia materiału, na którego podstawie przystąpi się natychmiast do ułożenia projektu ustawy w porozumieniu z autonomiczną władzą krajową.

Z brzmienia powyższego reskryptu przypuszczać należy, że projektowana reforma nie grozi zagładą ani istnieniu gmin dotychczasowych, ani odrębności obszarów dworskich. I jedne i drugie pozostaną jak są, a tylko »nadto, dla ściśle określonych celów administracyjnych« powstać mają z połączenia obu tych jednostek odrębne związki, jakiegos wyższego rzędu, na szerszych oparte podstawach, o których na razie tyle wiadomo, że kosztą za sobą pociągną, i że te koszta na istniejące ciężary gminne oddziałają. Już te szczegóły dowodzą, że reforma będzie pożyteczną i w założeniu wykrzywioną. Niema wprawdzie

obawy, aby projekt rządowy w najbliższej sesji za kilka tygodni rozpocząć się mającej, przyszedł na porządek dziennych obrad sejmowych, bo uzupełnienie przygotowawczego materiału i samo wypracowanie ustawy sporo jeszcze zajmie czasu, niemniej należy się spodziewać, że z klubów, nie należących do konserwatywnej większości, a przede wszystkim z klubu posłów ludowych wyjdzie już teraz głos silnego protestu przeciw tego rodzaju wyraźnej tendencyjnemu załatwianiu sprawy, które złęgo nie usuwa, owszem zwiększy je niewątpliwie i pogłębi. Ze względu na doniosłość i wagę reformy gminnej, w stosownym czasie jeszcze do niej powrócimy i postaramy się poddać ją wyczerpującemu omówieniu, dziś zwracamy jeno uwagę na grożące niebezpieczeństwo, o którym lud wiejski na wiecach powinien być pouczony w tym celu, aby mógł odpowiednią zawczasu zająć postawę.

Uwagi nasze, poświęcone w poprzednim numerze taktyce przedwyborczej stronnictwa socjalistycznego, do tego stopnia zirytowały redaktora krakowskiego *Naprzodu*, że odpowiadając na nie, zapomniał tytułu naszego pisma i dwukrotnie nazwał je *Przełęczem Powszechnym*. Oczywiście nie myślimy ani gniewać się za to, ani dziwić się »silniejszym« wyrażeniom odpowiedzi, wiemy bowiem, że współpracownicy *Naprzodu* inaczej pisać nie umieją. Co do owego przekręcenia tytułu pozwalamy sobie nawet przypuszczać, że uczyniono to rozmyślnie, aby w danym wypadku »wykreślić się« w razie potrzeby od odpowiedzialności za niby to — śmiałe i mające cześć naszej redakcji uwłaczać okólniki o pewnych »niebudujących (!) rzeczach«. Kręactwo chodzi zwyczajnie w parze z »niebudującym« sposobem myślenia. Mniejsza zresztą o to, chodzi nam o rzecz, a pod względem rzeczowym organ socjalistyczny nie odpowiedział ani słowem na zarzut nasz najważniejszy, mianowicie ten, że »cała działalność przedwyborcza stronnictwa socjalistycznego polega głównie na walce ze stronnictwem ludowym, na wytworzeniu współzawodnictwa w okręgach wiejskich...« na taktyce wyrządzania psot współzawodnikom, która tym ostatnim nie wiele zaszkodzi, a socjalistom nie da żadnych rezultatów«. Wobec tego powyższy zarzut w zupełności podtrzymujemy, a to tem silniej, że przybywa nam na poparcie jego fakt świeży, konkretny. Oto, jak dzisiaj dobrze wiadomo, chłop z Liszek Piotr Wlazło, którego socjaliści proklamowali już kandydatem na posła do rady państwa z czwartej kuryi okręgu krakowskiego przeciw Wójcikowi, wyraźnie oświadczył i niebawem publicznie potwierdził, że stało się to bez jego wiedzy, że do socjalistów nie »przystał«, ale przeciwnie, jako szczerzy »ludowiec« zawsze ich dotąd zwalczał i do rozbijania solidarności stronnictwa ludowego ręki nie przyłożył. Odprawa ta świadczy, nie najlepiej o »charakterze politycznym« i o taktycznych zdolnościach przywódców — specjalnie galicyjskiego socjalizmu.

Od socjalistów do ks. Stojałowskiego ostatnimi czasy krok jeden. Oślawiony autor »Listów prawdziwego Polaka« w *Dzienniku warszawskim*, o rzuconej nań kłątwie, nie przestał »działać« gazetkami i żywym słowem. Kłątwa, jakieśmy przewidywali, nie tylko w oczach ludu wcale mu nie zaszkodziła, ale przeciwnie zjawiła się dlań w porę, bo upadający wpływ jego do pewnego stopnia podniosła, osobie zaś dodała aureoli prześladowania. Przejrzeli wreszcie i ci, którym się zdawało, że wyklęcie niebezpiecznego »agitatora w sutannie« uczyni go raz na zawsze nieszkodliwym. Spostrzegli się, jak zwykle, po niewczasie, po licznych objawach zgorzenia, do którego sami dali powód. Niedawno *Kraj* petersburski zapewniał, że wytrawni telogowie krakowscy zaczynają już podejrzewać autentyczność i wątpliwość o prawomocności rzekomej kławy, a biskup tarnowski Łobos rozesał tymi czasy tajny okólnik do proboszczów dy-

ecezyi, w którym wyraźnie oświadcza, że pozwala sakramentalnie rozgrzeszać »wiernych, którzy mimo naszego zakazu czytają pisma peryodyczne przez Stojałowskiego i innych pisarzy z tej samej mąki wydawane«. Tenże biskup rozporządza dalej, dla zapobieżenia większemu złemu, — że »nie należy z którymkolwiek z tych, dopiero co wspomnianych, zbłąkanych wiernych, postępować jakoby z wyklętym, czyli nie należy upierać się przy kławie«. — Stojałowski wyjechał podobno do Rzymu, mając widocznie nadzieję dotarcia do samego papieża i ostatecznego, pomyślnego dla siebie załatwienia całej sprawy.

Prawdzie.

— *Przeniesienie prochów Ordona*. W rocznicę powstania listopadowego, pomimo silnego mrozu i zawiei śnieżnej, z górą tysiąc osób zebrało się na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie na uroczystość przeniesienia prochów Jana Kantego Ordona, którego czyn i imię nieśmiertelnie Mickiewicz.

Nie jeden z tych, co czytali »Redutę Ordona«, nie wie może, jak nie wiedział Mickiewicz, który wiersz swój pisał, że bohater, który wysadził w powietrze powierzony mu posterunek obronny, nie zginął wówczas, ale długo potem żył jeszcze, tułając się na obczyźnie, że brał czynny udział w ruchach narodowych włoskich, służył w legii polskiej podczas wojny krymskiej, i dopiero w r. 1887 znużony życiem, strawiony tęsknotą, zgębiony cierpieniami wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie we Florencji. W kartce, napisanej przed zgonem, prosił przyjaciela swego, p. Ludwika Ostaszewskiego, żeby zniszczył jego papiery, kazał spalić ciało i pochować prochy w ziemi ojczyściej. W r. 1891 p. Ostaszewski, emigrant z r. 1844 spełnił ostatnie życzenie Ordona i prochy jego przywiózł do Lwowa. Obecnie, p. Ostaszewski przybył powtórnie do Lwowa na uroczystość przeniesienia prochów Ordona i odsłonięcia pięknego pomnika, którego twórcą jest p. Tadeusz Barącz.

Nie będziemy streszczali mów na tej uroczystości wygłoszonych przez prezydenta miasta i przedstawicieli weteranów 1831 i 1863 r. młodzieży, włościan itd. Natomiast powiemy kilka słów o książeczce, wydanej przez komitet, który się budową pomnika i urządzeniem uroczystości zajmował, zawierającej krótki życiorys Ordona, stan jego służby i kilka ciekawych dokumentów.

Ułożenie życiorysu powierzył komitet p. E. Pawłowiczowi, który nie chciał poprzestać na prostym opisie czynów i życia Ordona, ale zaprawił wspomnienie pośmiertne niewłaściwymi uwagami, zawierającymi poglądy osobiste i objawy starczej gderliwości biografą.

Musimy to zaznaczyć, bo p. Pawłowicz fałszywie przedstawił postać Ordona i nawet, zdaniem naszym, ubliżył jego pamięci.

Był to człowiek prosty i szczerzy, skromny jak prawdziwy bohater. Takim się przedstawia w autobiografii, wydrukowanej przed kilkunastu laty w *Gazecie Narodowej*. Oto jak opowiada o wysadzeniu reduty: »Ja tymczasem, widząc redutę straconą, cofać się zacząłem, z mymi kanonierami ku magazynowi, gdzie stał przy drzwiach, z których się po schodach schodziło do tegoż, podoficer-magazynier z lontem, by zapalić »sztupiny« u drzwi, do prochów prowadzące. Zbliżywszy się do niego, kazałem przyłożyć ogień; spuścił lont — i oto buchnął płomień, naraz huk, trzask; poczem nie wiem jak długo nieświadomy niczego, przychodząc do przytomności, poczułem ból piekielny twarzy i rąk opalonych; powstawszy cokolwiek, słyszę pęknięcie granatów, a potem cisza... Muszę tu wyznać, że nie wiedziałem jaki skutek zrobi eksplozja;

nie miałem zamiaru ani siebie, ani mych kanonierów w powietrze wysadzić — postanowiłem być spełnić mój obowiązek.

I tego prawego żołnierza, który »nie oddał im prochów«, tego nowożytnego Leonidasa, wielonego w skromnego oficera artylerji kazano opisywać typowemu zrzędzie literackiemu!

W r. 1863 Ordon miał zamiar przybyć do kraju i wziąć udział w walce. Ułożył już sobie, jak świadczy list generała Kamińskiego, że weźmie tylko urlop z armii włoskiej. Co go powstrzymało — niewiadomo. Może jakie przeszkody formalne, może nadzieja zbrojnej interwencji mocarstw zachodnich, może jaki plan zuchwały, którym się łudono, a który potem zawiódł? A później nie było już isé po co. Nie wie o tem, co powstrzymało Ordon, i pan Pawłowicz, ale puszcza wodze fantazyi i tak pisze: »tu go doszła wieść o ruchu w Polsce, wieść fatalna. Mogłaż go nie przerazić?! I oto nastał czas utrapień dla każdego, kto kierując się nie tylko sercem, ale i rozumem, spojrział trzeźwo w przyszłość«. Pomijamy dalsze wywody p. Pawłowicza, jak np. oryginalną wiadomość, że rząd rosyjski starał się »o wywołanie, rozdmuchanie i podtrzymanie na czas jak najdłuższy tak mu pożądanego powstania«, zaznaczą tylko, że zdaniem biografy »ta myśl, że rząd narodowy, złożony przeważnie z gorącej, nie znającej kraju młodzieży rzucił go lekkomyślnie na igrzysko losów... mogłaż nie zatruć ostatnich dni jego życia«.

P. Pawłowicz dowolnie także określa przyczynę samobójczej śmierci Ordon: »Lecz gdy go doszły wieści z kraju o tem, czego się najmniej spodziewał, o upadku ducha, skutku zwykłym niewieńczonych powodzeniem wybuchów, o nierzadkiem wyparciu się czczonych dotąd ideałów, apatyi w sferach które dotąd siłą tradycyi były długi wzorem cnót obywatelskich dla innych, o rozdźwięku w pojęciach, braku zgody i warcholstwie tam, gdzie wspólnie celów winna skupiać siły, a z drugiej strony gdy go dolaływały niustannie jęki mordowanej Polski i Litwy... Ordon »w przystępie sromu i oburzenia zwałił się na łożo i już z niego nie powstał«.

Niewątpliwie p. Pawłowicz jest poczciwym człowiekiem i dobrym patriotą, ale nie jest zdolnym zrozumieć prostej, żołnierskiej duszy Ordon. W liście, który wkrótce po jego zgonie pisał do Warszawy Lenartowicz, znakomity poeta powiada, że Ordon był człowiekiem wolnomyslnym i postępowym, racjonalistą i szczerym demokratą z przekonania. A wiemy również, że był człowiekiem silnego charakteru, żołnierzem sumiennym i odważnym. Tej miary człowieka nie obchodziły »sfery, które długo były wzorem cnót obywatelskich«, nie straszły »warcholstwa«, niewiadomo zresztą jakie w owej epoce. Takie filisterskie obawy, takie myśli i uczucia pospolite — właściwe są może Pawłowiczom, ale nie Ordonom i nie wolno nikomu dla swoich lichych, poziomych celów spotwarzać pamięci tego polskiego żołnierza »bez trwogi i zmayı«, który w zaraniu swej młodości przeczuł, że »dzieło zniszczenia w świętej sprawie jest wielkiem, jak dzieło stworzenia«.

Z K R E S Ó W.

Nowe pismo na Śląsku cieszyńskim. Otrzymałiśmy w tych dniach odezwę z Frysztata, zapowiadającą pojawienie się w tem mieście nowego pisma polskiego, która treścią swoją zasługuje, aby jej tutaj kilka słów poświęcić. Zaznacza ona na wstępie, że »bardzo źle się dzieje« na śląskiej ziemi, »bieda ciśnie się do naszej śląskiej chałupy, i musi

się tej biedzie dobrze powodzić, kiedy brat Ślązak zamiast być panem na własnych śmieciach, jest tylko mizernym sługą i popychadłem, maszyną bez czucia i woli, zwyczajnym narzędziem w rękach wyzyskiwaczy, których tu nie-szczęście przysmyczyło ku naszemu utrapieniu!... Młodzi gańbią się tej przepięknej śląsko-polskiej rzeczy, w której ich mamulka Pana Boga chwalić nauczyła... Zdaje nam się, że czuwamy, że ruszamy się i postępujemy naprzód, gdy my tymczasem w miejscu stoimy i tracimy co dzień po kasku tej świętej ziemi śląskiej, krwią starzyczków uaszych zabarwionej, — a potem nam to dziwno, że się zaczyna robić ciasno, a jak tu ma być przestrożo, kiedy trzy ćwierci Śląska w cudzych rękach... Nie dajmy się gnębić, prześladować i poniewierać, ale pamiętajmy, że *my* mamy tu prawo rozkazywać, a nie cudzoziemcy«. Nowe pismo, pod tytułem »Głos ludu śląskiego«, będzie stać na gruncie ludowym, »nie będzie się zaliczało do żadnej z tych partyi, których tu tyle się na djaska namnożyło«, »będzie surowo karcito krzywdy, jakie się dzieją robotnikom, rolnikom, rękodzielnikom, drobnym przemysłowcom« itp., będzie »broniło duchowych i materyalnych korzyści ludu śląsko-polskiego«.

Wogóle odezwa ta, napisana dość gorąco i energicznie, z wiarą w słuszność i powodzenie sprawy ludowo-polskiej, robi dodatnie wrażenie na czytającym i przez lud śląski bezwątpienia życzliwie będzie przyjęta, bo przemawia serdecznie i otwarcie zapowiada, że nowe pismo chce *bronić* ludu przed uciskiem i wyzyskiem obcych żywiołów.

Wprawdzie ustęp odezwy, że przyszła gazeta »nie będzie pisała wysokim polskim stylem, ale *po naszymu*, po śląsko-polsku« może wzbudzić pewną wątpliwość, ale to tylko w tych kołach, które ze Śląskiem stosunków bezpośrednich nie utrzymują, co do nas bowiem, którzy wydawców nowego pisma znamy, wiemy doskonale, że ustęp powyżej przytoczony nie oznacza bynajmniej jakiegoś separatyzmu śląskiego, lecz podyktowany został względami praktycznymi, dla tego tylko, aby gazetę »każdy zrozumiał«, co łatwo usprawiedliwić stosunkami, jakie dotychczas na Śląsku cieszyńskim panują; wiadomo bowiem, że w szerszych masach ludu tamtejszego, zwłaszcza robotniczego, a nowe pismo, zdaje się, je głównie na względzie mieć będzie, poczucie polskości pozostaje jeszcze w zarodku i najłżejsze jego przejawy zawzięcie są tłumione nie tylko przez Niemców, ale może jeszcze bardziej przez Czechów, zwłaszcza w powiecie frysztaeckim, obejmującym cały rewir węglowy, ostrawsko-karwiński. Odezwa, licząc się z tem, dlatego właśnie nie wypowiedzi wyrażnie imienia Polski, lecz poprzestaje bardzo roztropnie na wzmiance o dążeniu »do odrodzenia Ojczyzny naszej« a następnie wzywa do łączenia się pod sztandarem czerwono-białym, w którym bardziej uświadomiony Ślązak, rolnik czy górnik, łatwo domyśli się sztandaru polskiego z białym orłem, a nie lwa czeskiego. Zresztą stylizacya odezwy takiej czyli prospektu nie może przesądzać, jakim będzie program przyszłego pisma, jak się ono wywiązywać będzie z zadania swego. Nowe pismo wychodzić ma dwa razy na miesiąc, pod redakcyą p. Franciszka Friedla, urzędnika banku polskiego we Frysztacie, który, jako człowiek młody, energiczny, ze zdrowym i niezależnym poglądem na rzeczy, znany ze swego patriotyzmu i miłości dla ludu, daje zupełną gwarancyę, że poprowadzi pismo to w kierunku właściwym. Podjęła ten projekt mała gromadka zacnych ludzi i szczerych ludowców, którzy liczą na poparcie li tylko ludu samego, tamtejsi bowiem przywódcy niezbyt życzliwie okiem patrzą na mające się zjawić pisemko. O ile wiemy, wydawnictwo to nie ma dostatecznych funduszków, więc narażone być może na przedwczesny upadek z wielką szkodą dla sprawy polskiej i ludowej. Jeżeli więc lud nie poprze go należycie w samych początkach i nikt

mu z pomocą pieniężną nie pośpieszy, uczciwe chęci zostaną zmarnowane, a byłaby to szkoda niepowetowana.

Pisaliśmy już kilkakrotnie, że prasa polska na Śląsku cieszyńskim nie stoi na wysokości zadania, że zanadto jest uzależniona i nie wywiera dlatego wpływu na szersze warstwy ludu śląskiego. Zapowiedź nowego pisma witamy więc jak najchętniej jako objaw głęboko odczutej potrzeby uzupełnienia tych braków, jakie w dotychczas wychodzących piśmiokach widzimy. Musimy jednak zaznaczyć, że nowe piśmo, dopóki nie stoi na silnych podstawach, nie znamionuje jeszcze postępu, wszelkie tego rodzaju próby dowodzą tylko, że w cieszyńskim jest źle istotnie; że to źle odczuwa garść ludzi z charakterem, którzy z całego serca pragnęliby pracę narodową ożywić i skierować na racjonalne tory. Życzymy im, aby pragnienia swoje mogli jaknajprędzej urzeczywistnić.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Chicago 5 listopada.

(Trzeci Listopada 1896 w Stanach Zjednoczonych).

Dzień 3 listopada w tym kraju, co cztery lata bywa dniem wielce ważnym i uroczystym, gdyż w dniu tym odbywają się wybory do kongresu i na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Dziś spełniają obywatele tutejsi czynność tę po raz 28-my. Od 6-tej godziny zrana otwarte są t. zw. »poll'e«, t. j. miejsca, gdzie przyjmują balloty, a każdy obywatel, mający prawo, głosu t. j. każdy pełnoletni, spełnia prawo swoje bądź idąc na zajęcia, bądź też umyślnie w tym celu wychodząc z domu. Urządzenie samego głosowania zasługuje ze wszech miar na uwagę, jako dające największą możliwą gwarancję swobody wyboru i ścisłej jego tajemnicy.

O ile przed wyborami otwarte jest szerokie pole dla agitacji wszelakiego rodzaju, o tyle z chwilą wystąpienia do »poll'a« każda namowa, nakłanianie lub próba przekupienia wyborcy staje się zbrodnią ciężko karaną. Właściwie mówiąc, można tu o obalaniu wyborcy, ale prawie niema możliwości przekupić go; trudno bowiem przypuścić, żeby ktoś, kto upadł tak nisko, iż głos swój sprzedał; zachował w tej sprzedaży tyle uczciwości, iżby przyrzeczenia dotrzymał. Sprawdzić zaś, jak kto głosował, nie ma absolutnie możliwości. Jest wprawdzie inny sposób zainteresowania wyborców, którym się posługiwali na szeroką skalę republikanie podczas ostatniej kampanii: oto wszyscy przemysłowcy, wypłacając w sobotę ostatnią gażę swoim urzędnikom, zawiadomili ich, żeby nie przychodzili wcześniej jak po wyborach i to tylko w razie zwycięstwa Mac Kinleya. W ten sposób nie tylko własny głos pracowników zostawał pod presją zależności od zarobku, lecz dawało się im dwa dni na agitację wśród znajomych i krewnych.

Nie należy ztąd wnosić, iżby przekupstwo wyborcy wcale nie istniało w Stanach Zjednoczonych. Przeciwnie, kraj ten tradycyjnie choruje na tę straszną niemoc moralną, a nigdy nie płynęło tyle złota przed wyborami, ile w roku bieżącym. Potoki dolarów, podsycane przez miliony bankierów angielskich do spółki z kupcami i bankierami tutejszymi — bo w ich to interesie głównie stworzono w r. 1873 złotą walutę i wyszrubowano cenę dolara na rynku między-narodowym — płynęły wszystkimi korytami: szły one wszakże na zakupienie sumienia agitatorów i mówców, a przede wszystkim prasy, która prawie cała uległa tej korupcyi.

Smutne to bardzo, muszę wszakże zaznaczyć, że prasa i pseudo inteligencja polska w Ameryce trzyma się tej samej praktyki. Wiele pism powstało przed wyborami jedynie w celu popierania złotej waluty i na pieniądze republikanów i zniknie zaraz po wyborach. Były takie znów, które chcąc jak najdrożej sprzedać swoje sumienie, ogłaszają z początku, że nie wyrobiły jeszcze sobie stanowczej opinii w tym przedmiocie, gdy zaś złoty argument przeważał szalę wątpliwości — zaczęły z taką wściekłością napaści na demokratów, jakich by się nigdy nie dopuścili ludzie najbardziej przekonani.

Jedno wpływowe i rozpowszechnione pismo klerykalne tutejsze, które od wielu lat tradycyjnie popierało demokratów (księża nasi popierają w ogóle demokratów dla ich większej tolerancji religijnej; republikanie niechętnym okiem patrzą na katolicyzm, zwłaszcza zaś nie lubią szkół przez księży utrzymywanych), skuszone grubą sumą — jak powiadają 250 dolarów — umieściło raptem, ku wielkiemu skandalowi i zgorszeniu swoich czytelników, portrety Mac Kinleya i Hobarta — republikańskich kandydatów na prezydenta i wiceprezydenta obok siarczystego artykułu na cześć złotego cielca... chciałem powiedzieć — dolara i ceł protekcyjnych.

Skandal jednak był zbyt wielki; trzeba było jakoś się wycofać: wyrzucono więc redaktora, zapłaciwszy mu pensję za 3 miesiące z góry i w ten sposób uczyniono go w opinii ogółu winowajcą całej sprawy.

Piszący te wiersze był sam świadkiem podobnych haniebnych tranzakcyj, a jeszcze więcej niż sam akt sprzedarzy sumienia uderzyła go buta, z jaką się dokonywał.

Bardzo często daje się słyszeć taki głos wśród Polaków:

— To jest sprawa dla Polski obojętna; więc kto lepiej zapłaci za tym pójdziemy — tak jakby kwestya uczciwości i honoru jej synów mogła być obojętną dla ojczyzny!

Ta korupcja szerzy się na masy z góry, od owej pseudo-inteligencji polskiej, która żyje tu z mas ludowych — zresztą uczciwych i wysoce patryotycznych, a wiedząc, że jedyna struna, na której mogła trafić do przekonania tych tłumów, jest patryotyzm — wygrywa na nim swoje symfonie — sama dbając jedynie o dolara, przyjaciółka lub wróg księży i religii, stosownie do tego czy razem: z nimi obrabia »businessy«, czy też współzawodniczy.

Ale od tej smutnej zakulisowej strony wróćmy do jasnego i słonecznego dnia wyborów.

Chcąc przyjrzeć się procederowi głosowania, wszedłem do jednego z »pollów«. Był to próżny sklep, zamieniony na urnę wyborczą.

Dokoła stołu siedziało kilku wybranych w tym celu sędziów; jeden z nich ma drukowaną listę wyborców swego dystryktu i sprawdza, czy nazwisko przybywającego znajduje się na niej, każdy bowiem, kto ma prawo głosowania, t. j. jest obywatelem Stanów, musiał złożyć dowody tego w pewne oznaczone dni przed wyborami; dowody te czyli »papiery obywatelskie« uzyskują się na podstawie zeznania świadków o pięcioletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych.

Drugi sędzia notuje nazwisko przybywającego; trzeci daje mu listę z wydrukowanymi nazwiskami kandydatów na prezydenta, wice-prezydenta, członków kongresu i innych urzędników każdej partyi, obok białej szpalty dla wpisania własnych kandydatów.

Z listą tą udaje się wyborca do jednej z przedziałek, oddzielonych frankami i zupełnie odosobnionych i tam przez nikogo nie obserwowany rozwija swój »ballot« i stawia krzyżyki przed nazwiskami wybranych przez siebie kandydatów. Może on przyjąć cały »tykiet« jakiegokolwiek

stronnictwa, stawiając krzyżyk w kółku u góry, może wybierać pojedynczych kandydatów z każdego szeregu, zaznaczając ich imiona, lub wpisać własnych.

Skończywszy, wychodzi i oddaje »ballot« złożony sędziemu, który go natychmiast wpycha do opieczętowanej starannie skrzynki.

Około godz. 11-tej większość obywateli złożyła już swoje głosy; o 4-tej zamknięto „poll'e« a od 6-tej zaczęły przychodzić wieści telegraficzne z różnych części kraju o rezultatach wyborów.

Trudno dać pojęcie o tem, co się działo w mieście tego wieczora. Amerykanie obchodzą dzień wyborów po amerykańsku: t. j. robiąc tyle hałasu, że europejczyk formalnie nie może dotrzymać im pola. Dzieci i dorośli mężczyźni przebiegają ulice w miejsczych lub większych gromadach, uzbrojeni w specjalne trąbki blaszane, któremi sprawiają hałas nie do opisania. Niektórzy mają klekotki, grzechotki lub dzwonki, inni posługują się skręconymi z tektury tubami, wielu wykrzykuje chórem lub wyspiewuje dwuwiersze na cześć swego kandydata a na potępienie przeciwnego.

Przed każdą redakcją płachty płótna, na które za pomocą stereotypkonu rzucają co chwila przybywające własnymi drutami depeşe o stanie wyborów w pojedynczych miastach, hrabstwach (powiatach), stanach. Tłumy niezliczone cisną się przed każdą taką płachtą, witając ważniejsze depeşe szalonym wyciem. Czasem na przemian z depeşą ukazuje się portret kandydata, karykatura polityczna lub jakiś obrazek symboliczny.

Ruch i hałas trwa przez całą noc; na ubocznych ulicach palą się stopy z beczek, skrzyń i t. p. Bez tego nie obchodzi się tu żadna uroczystość mniejsza lub większa.

Amerykanie słusznie szyczą się swemi instytucjami politycznymi. Konstytucya Stanów Zjednoczonych jest najpiękniejszą rzeczą ze wszystkiego, co mają, a co najważniejsza nie jest ona tylko literą pisaną, ale żywym czynem, czemś, co weszło w krew i zwyczaj ludzi. Jak cyklopowo budowa, przetrwała ona bez najmniejszych zmian i prawie bez żadnych dodatków i dobudowywań stulecie, w ciągu którego zmieniło się tyle kart konstytucyjnych w Europie; jest ona żywym świadectwem geniusza politycznego założycieli federacyi, których pamięć tu otoczona jest czcią zasłużoną. Rzecz można śmiało, że jeżeli przy tem wyuzdaniu gorączki zysku, przy tem rozpasaniu kapitalizmu, przy kulcie złota i jego potędze co jeszcze wstrzymuje ten naród od upadku i rozkładu, coś go wiąże w całość i daje mu siłę moralną — to są owe wspaniałe instytucje polityczne i cześć dla nich, zostająca w takiej sprzeczności z hasłami dnia dzisiejszego jak cześć dla ideału z kultem złotego cielca.

Przeglądając się życiu potocznemu wielkich miast Ameryki Północnej, przychodziło mi mimowoli porównanie tej rzeczywistości codziennej z ową posagową szczytnością instytucyj politycznych tego kraju; zawsze stawało przed umysłem moim zapytanie: jak mógł ten naród stworzyć podobne instytucje?

A jedyną odpowiedzią jaką mogłem dać sobie jest ta, że nie dzisiejsi amerykańanie ją wydali.

Ten tłum, zapełniający ulice, żyjący pośpiesznie jedną myślą o prędkim dorobku, te masy ludu pracującego jak maszyny przez dzień, aby, przespawszy się w nocy, z rana znów wrócić do roboty, nie są to amerykańanie właściciwi. Jest to formacya zupełnie nowa, napływowa, przyniesiona tu falą emigracyjną. Jednych przypędziła chęć wzbogacenia się, drudzy uciekali od nędzy w kraju swoim, trzecich jak Polaków gnał podwójny ucisk polityczny i ekonomiczny (najwięcej Polaków tu jest z zaboru pruskiego.) Ci amerykańanie,

którzy stworzyli owe instytucje, stanowią dziś znaczną mniejszość wśród owej różnoplemiennej, często nawpół zdziczałej pod rządami despotycznymi i różnojęzykowej masy ludności świeżej; a jednak wpływ instytucyj politycznych Stanów jest tak potężny i tak dobroczynny, że stopniowo oddziaływają one na te masy, wychowują je politycznie, budzą poczucie jedności obywatelskiej i równości.

Trzeba widzieć, z jaką prostotą zachowuje się taki n. p. »governor« stanu, którego stanowisko jest równoznaczne z prezydentem niezależnej rzeczypospolitej lub monarchą państwa, i jak prosty jest stosunek do niego wyborców. Jak go klepią po ramieniu za dobrą mowę i jak on w tej mowie posługuje się językiem, za który obywatel lub poseł austriacki został by co najmniej okrzyknięty za anarchistę, rewolucjonistę, dynamitarda i wszystko co chcecie.

Kto przyzwyczajony jest, jak każdy europejczyk, do panoszenia się lada dudka na kościele w lada pseudokonstytucyjnym państewku (nie mówię już o despotach), ten nie może się nie wzruszyć na widok np. przyszłego prezydenta, czekającego w szeregu na kolej, aby złożyć swój »ballot«, podającego na żądanie urzędnika swoje nazwisko i adres, jak każdy inny śmiertelnik, i to w dzień, który czyni go prezydentem związku kilkudziesięciu skonfederowanych państw, liczącego 72 miliony ludności.

Iluż by to służalców w Europie podskoczyło doń z krzeselkami, jakby tam rozpychano tłum, aby dać pierwszeństwo przysłemu dostojnikowi a ten dostojnik, zapytany o imię i nazwisko, niezawodnie uczuł by się w najwyższym stopniu obrażonym, że ktoś śmie go nieznac!

Nasi współrodacy narówni z innymi ulegają dobroczynnym wpływom instytucyj amerykańskich. Pierwsze, co bije tu w oczy — to ogromna poczytność dzienników polskich, zainteresowanie się sprawami ogółu.

Niema tu prawie Polaka, który by nie trzymał jakiegokolwiek gazety, a z prenumeraty tych właśnie klas, które u nas najmniej czytają, t. j. włościan utrzymują się liczne pisma polskie tutejsze. Tak zwana bowiem «inteligencya» polska zazwyczaj albo czyta tylko angielskie pisma, albo, jeśli odbiera polskie, to za nie nie płaci. Pismo polskie, liczące kilka lub kilkanaście tysięcy prenumeratorów, nie jest wcale rzadkim wyjątkiem, a maszyny rotacyjne, będące w Europie symbolem niezwykłej poczytności dziennika, znajdują się tu w drukarni każdego większego pisma.

Drugim objawem wychowania politycznego Polaków jest ogromna inieyatywa w tworzeniu wszelkiego rodzaju związków i stowarzyszeń. Prócz katolicko klerykałnych istnieje tu, jak wiadomo, *Związek Narodu Polskiego*, liczący obecnie przeszło 12000 członków mieszkających w rozmaitych Stanach.

Jest to związek wzajemnej asekuracyi życia, łączący wszakże z celami potocznymi — wsparcie członkom pozabawiovm pracy i pośmiertne (w sumie 1000 dol.) ich rodzinom — także i zadania patryotyczne.

Związek Narodu Polskiego utrzymuje czytelnię polską w Chicago, bezpłatną i dla wszystkich (nie tylko członków Związku) otwartą, jak wszystkie w ogóle czytelnie. Organ związku (*Zgoda*), który może pozostawia nieco do życzenia pod względem redakcyi, należał jednak do nielicznych pism polskich, zachowujących zupełną neutralność w kwestyi srebra i złota a wystawił program wyborczy bardzo prosty i elementarny, ale stanowczy — jedynie możliwe wyjście dla pisma, zależnego od tak licznych a rozmaicie względem złota i srebra, usposobionych członków Związku: mianowicie program głosowania za każdym kandydatem Polakiem, bez względu na stronnictwo, do którego należy. Dodajemy w nawiasie, że żaden z tych kandydatów nie przeszedł.

Ważną zasługą Związku, bodaj najważniejszą, jest ta, że wyłamał się z pod feruły księżowskiej, którą tu trzymają w rękę, odsunawszy uczciwą część duchowieństwa, najgorsze żywioły, jakie kiedykolwiek przyniosły hańbę sukni kapłańskiej. Związek N. P. jest pierwszym większym stowarzyszeniem polskim, którego zarząd utworzony jest z ludzi świeckich, a chociaż bynajmniej nie przeciwny religii katolickiej, lecz tylko nadużyciom księży amerykańskich, ściągają na siebie pioruny i wyklęcia z ich strony.

Istnieje tu też nie liczny „Związek Młodzieży Polskiej“, mający za główne zadanie wykształcenie w duchu narodowym, które faktycznie zresztą ogranicza się podobno do zakazu członkom mówienia między sobą po angielsku. Wydaje on pismo *Sztandar*.

Polacy w ogóle brali bardzo szeroki udział w ostatnich wyborach, a najlepszym dowodem ich znaczenia są liczne, wydane przez obie partie pamflety polityczne w języku polskim, liczne mityngi polskie, na których przemawiali najskrytniejsi mówcy i kandydaci jak Altgeld, „governor“ stanu Illinois, Bryan — kandydat na prezydenta i inni, a zwłaszcza szeroki potok złota, płynący od stronnictwa republikańskiego do redakcyi wielu pism polskich.

X. Y. Z.

PRZEGLĄD PRASY.

— Nowy redaktor *Dziennika poznańskiego*, p. W. Łebiński, znany dotychczas jako korespondent *Kraju* i gorliwy obrońca polityki ugodowej, zaczął działalność swoją od artykułu programowego. Zanim z artykułu tego przytoczymy ważniejsze ustępy, damy najprzód, wbrew zwykłemu porządkowi, komentarze *Kraju* i *Czasu*, ułatwiające należytą ocenę wyznania wiary redakcyi *Dziennika*.

Czas charakteryzuje p. Łebińskiego i daje mu rady praktyczne z właściwym przeżytem starcom cynizmem.

„Będzie więc w *Dzienniku* zupełna ewolucja. Dr. Łebiński jest u nas osobistością wybitną. Za młodu był zapalonym liberałem. Kulturkampf, rozpatrzenie się w stosunkach i wyrobienie zmienili jego wyobrażenia. Dziś człowiek wytrawny, przekonana stanowczo konserwatywnych i katolickich, nada niezawodnie *Dziennikowi* jasny kierunek. Byłaby tylko obawa, czy potrafi mieć konieczną w polemice wyrozumiałość i zachować spokój sądu i miarę wśród nieraz bardzo przykrych walk, które staczać mu przyjdzie. Jeśli gdzie, to u nas dziennikarz powinien mieć w pamięci, że starać się musi zjednać, przekonać, a nie upokarzać przeciwników. *Miodem wleć się much śląpie, niż octem*“.

Kraj, zaznacząwszy, jak wielką ma dla niego doniosłość uchwała akcyonaryuszów *Dziennika*, powołująca do steru pisma człowieka, który życie swoje strawił na zwalczaniu tych właśnie praktyk politycznych, których głównym patronem był dziennik, prowadzony przez s. p. Franciszka Dobrowolskiego, tak dalej pisze:

„Nie omylił się chyba, przypuszczając, że nominacja p. Łebińskiego nastąpiła na gruncie rozumnego i uczciwego kompromisu, podyktowanego przez zmienione stosunki polityczne w Poznańskim. Dr. Łebiński rozumiał zapewne, że niepodobna wymagać od grupy ludzi poważnych, a do takich należą niewątpliwie akcyonariusze *Dziennika poznańskiego*, aby przrzucali się z jednej ostateczności w drugą i zgodzili się na biegunowo sprzeczny z dotychczasowym kierunkiem pisma. *Dziennik* musi pozostać organem „umiarkowanie liberalnym“, a jego nowy redaktor nie może o wewnętrznych stosunkach poznańskich sądzić i pisać tak bezwzględnie i krytycznie, jak nieodpowiedzialny korespondent z Poznania do pisma polskiego w Petersburgu.“

W myśl rady *Czasu*, stosując się zapewne do warunków kompromisu, p. Łebiński zapewnia, że *Dziennik* pozostanie, jak był dotychczas, liberalno-umiarkowanym:

„Liberalnym, wolnonajmniejszym dla tego, że Polaka wiąże i pociąga do siebie wszystko, co technicznie wolnością i swo-

bodą. Umiarkowanym zaś dla tego, że dzieje nas nauczyły, jak źle jest nie zachowywać miary w wolności i dążnościach, rwących się do bezwzględniejszej swobody.“

„Zasada ta dwoista będzie u nas niewzruszoną. Jest ona dość obszerna, żeby objąć, jeżeli nie wszystkie, to najzdrowsze żywioły społeczne oraz ich duchowe zasoby“.

Z powodzi ogólników, które w artykule programowym zwykle w mniejszej lub większej ilości się znajdują, wyłowić jednak można kilka zdań, odślanających znamienne, chociaż osmarowane miodem, zarysy nowej fizyognomii politycznej *Dziennika*.

„Cokolwiek w piśmie naszym było dobrego to zatrzymamy i pielęgnować będziemy nadal, a jeśli zmienione okoliczności nasunęły lub nasuną nowsze drogi, wyniknie to z porządku rzeczy, które się toczą bołem w wirze życia, miotnego w przeróżne strony. My starać się będziemy o to, żeby nam w wirze tym torował drogę rozum rządzący, a serce ogrzewające jego chłodną rachuby.“

„Pragnęlibyśmy oczywiście, żeby nam wir ten nie męcił także stosunku do współobywateli naszych niemieckich, z którymi pragnęlibyśmy żyć w zgodzie i porozumieniu. Ale to nie od nas samych zależy. Tu wyrażamy tylko najlepsze chęci, a obszerniej o tej sprawie pomówimy później. Każdy objaw życzliwości i uznania z tamtej strony powitamy z zadowoleniem“.

Ślusznie powiada *Przeгляд Poznański*, że:

„Jest to oczywiście bardzo ogólnikowe i bardzo mliste orzeczenie, bo ani się nie dowiadujemy, co nowy redaktor uważa za „dobre“ w starym „Dzienniku“, ani jakie nowe przewiduje drogi. Dla nas jednak, którzy nastuchaliśmy się w ostatnich czasach tak wiele „o nowych horyzontach“ i którym nie jest obcem nabożeństwo dr. Wł. Łebińskiego dla polityki ugodowej, ogólnik ten nabiera indywidualnej formy i wyraźnej barwy. Znamy te „nowe drogi“, któremi „Dziennik“ podąży, i znamy te „zmienione okoliczności“, o których apostołowie ugody śpiewali wczoraj i śpiewają dzisiaj“.

Na razie nowy redaktor nie zamierza widocznie prowadzić akcji politycznej w tym kierunku i dla tego, jak zaznacza *Oređownik*, rozmyślnie tak ważny punkt programu przemilczał. Zapewne w odpowiedzi *Oređownikowi*, w parę dni po ogłoszeniu programu zamieścił *Dziennik* następującą notatkę:

„Ponieważ z pewnej strony zauważono, że w programie naszym nie dotknęliśmy wcale „polityki dworskiej“, oświadczamy, że tego zrobić nie mogliśmy, bo „polityka dworska“ nigdy u nas nie istniała i nie istnieje. Pojęcie „polityki dworskiej“ stworzyli ci, którym był potrzebny głośny bęben do wybijania werblu współzawodnictwa politycznego. My znamy tylko politykę polskiego interesu, a on nam jest przewodnikiem w szukaniu i ocenianiu będących na czasie sposobów. Chroni nas także między innymi od zagwałdzania sobie głowy uporem i przywidzeniami“.

Wyjaśnienie jest mniej jeszcze — jasnym, niż poprzednia deklaracja, ale *Kraj* tłumaczy, że wobec reakcyi niemieckiej przeciw Polakom polityka ugodowa straciła grunt realny.

„W takich warunkach i wobec takich widoków tracić równowagę, schodzić z jedynie właściwej drogi pracy spokojnej i obrony legalnej, byłoby szaleństwem, ale najwzajemniemu najniższej racji zapędzać się zbyt daleko w bezprzedmiotowym lojalizmie. Dla partii „prusofilskiej“ czy „dworskiej“ niema dziś w Poznańskim miejsca“.

Natomiast ugodowe dążności *Dziennika* w inny znaczący sposób: Uniewinniając się, że „za przykładem pism niemieckich musi się zajmować losem braci zakordonowych“, dodaje;

„Bracia nasi żyją w innych jak nasze warunkach, a my nie zawsze z daleka trafnie o nich sądzić możemy. Zależy więc wiele na tem, żebyśmy mieli sumiennych sprawozdawców, nie powodujących się wyłącznie namiętnością. Tacy bowiem nieraz więcej szkodzą, jak przyczynić się do polepszenia losu naszych rodaków. Takich sprawozdawców mieć będziemy. Nie wyrzekną się oni rozumnej krytyki, ale porzucą system bezowocnego drażnienia“.

Kuryer Lwowski przypuszcza, że *Dziennik* wyrzeka się zamieszczanych dotychczas korespondencyi z zaboru

rosyjskiego. Komentarz *Kraju* stwierdza zupełnie to przypuszczenie:

„Skoro zaś tak jest, skoro wszelkie usiłowania ugodowej polityki z Prusakami poszły na marne, to pytamy, jakie powody mogłyby skłonić nową redakcyę *Dziennika Poznańskiego* do kontynuowania tej szkodliwej taktyki dziennikarskiej, jakiej przez długi czas, aż do końca życia, trzymał się ś. p. Dobrowolski odnośnie do naszych stosunków? Komu zależy, kto wygrać może na ciąglem rozdrażnianiu stosunków polsko-ruskich, na popieraniu u nas wszelkich prób rozstroju i wicherzenia, na dyskredytowaniu ludzi i żywiołów umiarkowanych? Tylko w filantropii dobrą jest zasada: „niech nie wie lewica, co robi prawica“, w polityce potrzebne jest zgodne, równe i świadome działanie obu rąk. Tymczasem *Dziennik*, który jedną ręką gromił zawzięcie wicherzycielstwo poznańskie, drugą ręką głaskał zachęcająco po głowie wicherzycieli w Królestwie“.

Dodać trzeba, że te korespondencye opierały się na starannie sprawdzanym materiale faktycznym i podawanych w nich wiadomości nie ośmielała się nigdy prostować, ani im zaprzeczać urzędowa prasa rosyjska. Przekonania zaś polityczne autorów tych korespondencyi były bardzo umiarkowane pod każdym względem. Ale *Kraj* tak się rozmachał, że nie tylko tych umiarkowanych patryotów nazwał »wicherzycielami«, znalazł również — i to w Poznaniu, wicherzycieli społecznych mianowicie »prasę ultra-demokratyczną, radykalną i socjalistyczną« do której *risum teneatis* — zalicza: *Oređownika*, *Gońca wielkopolskiego* i *Pracę*. Nie trzeba chyba dodawać, dla określenia tej humorystyki, bo na przewrotność jest to zbyt naiwne, że pisma socjalistyczne najzawzięciej napadają na *Oređownika*, a radykalny i ultra-demokratyczny *Gońiec* nawołuje wszystkie stany do zgody i łącznego działania.

— Korespondent lwowski *Nowej Reformy* w sprawozdaniu z wiecu ludowego we Lwowie, zwołanego przez radykałów ruskich, przedstawia następujący charakterystyczny obrazek:

„Przemawiało jeszcze kilku mówców, poczem zachęcony widocznie przypuszczeniem, że na tem zebraniu wolno mówić, co się komu podoba, wyszedł na trybunę niejaki Kopytyński, chłop, egzemplarz osobliwego wyrobienia politycznego wśród ruskiego ludu i powitawszy obecnych po polsku słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, mówił następnie, jak inni, kiepską ruszczyzną, w ten mniej więcej sens, jeżeli wogóle o sensie mogła tam być mowa:

„Szanowni panowie! Wszystko złe jest stąd, że posłowie, przez nas wybrani, nie mówią prawdy o nas najjaśniejszemu panu, który nas kocha z całej duszy; dzieje się więc nam nie tak, jakbyśmy chcieli. I tak n. p. niemiecka mowa panuje na całym świecie, a tej niemieckiej mowy za mało uczą w szkołach. Chcesz dziecku darować kawał gruntu, to cię *mateljusz* zedrze, idziesz do miasta, to *hakcyza* do koblaki ci zagładą. Na to macie jedną radę: Wybierajcie posłem tylko chłopą. Bo chłop padnie na kolana najpierw przed *Hospod Bohem*, a potem przed najjaśniejszym panem i powie mu, jak chłopci są przesładowani. A najjaśniejszy pan się rozczuli i da nam wszystko, czego nam potrzeba, bo to jest najlepsza dusza pod słońcem, co żeby nam żyła i sto i dwieście lat, i chce nam dobrze zrobić, ale nas panowie do niego nie puszczają. Dlatego ja proszę, aby od chłopów tylko chłop był posłem do najjaśniejszego pana! — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ zakończył znowu po polsku.“

Kiedy dr. Franko starał się po tem przemówieniu wytłumaczyć zebranim główne zasady państwowego ustroju konstytucyjnego, przerwano mu mowę wołaniem: »o podatkach naj pan hadaje!“

— Ks. Stojałowski z właściwym mu uporem brnie coraz głębiej w polityce moskalofilskiej. Witając nowe pismo socjalistyczne, *Prawo ludu*, przeznaczone dla ludności wiejskiej, tak pisze w swej *Pszczołce*:

„Przesyłając: Sześć Boże, polecamy nowe pismo uważając naszych czytelników. Redakcyi zaś jedną przyjacielską dajemy radę, aby wobec Rosyi postępowała sprawiedliwie. Car nie jest sam przez się tyrański, a rząd rosyjski niezaprzeczenie

więcej dba o chłopą i robotnika, niż niejeden rząd konstytucyjny, złożony z całej gromady tyrańków“.

W *Wieńcu* dla wysławienia Rosyi dopuszcza się nawet kłamstwa, pisze bowiem:

„W tym miesiącu ma się odbyć Konsystorz papieski, to jest zebranie kwartalne kardynałów, pod przewodnictwem papieża, na którym Ojciec św. ma zamianować biskupów dla diecezji polskich w Rosyi. Widocznie tedy układy ze rządem rosyjskim zakończyły się pomyślnie i pewnie nie zostanie biskupem żaden cudzoziemiec ani Rosyanin ale Polak. Sztuki narzucania cudzoziemców nie umiejących języka polskiego na biskupów polskiego narodu, jeszcze Rosya nigdy nie próbowała, chociaż już niejednen Rosyanin został katolickim księdzem“.

Możeby ks. Stojałowski wymienił takiego księdza roadowitego Rosyanina, któremu wolno przebywać w Rosyi i sprawować czynności kapłańskie?

Z OBCEGO ŚWIATA.

Rosya i Austria na półwyspie bałkańskim. Dziennik angielski *Daily Mail* zamieścił sensacyjną wiadomość o układzie, który niedawno zawarła Rosya z Austryją w celu rozbioru Turcyi. I organ Bismarcka o jakiejś tajemnej umowie donosi. Ile w tem prawdy — trudno powiedzieć; zdaje się — niewiele. Faktem jest jednak, że drobne państewka na półwyspie bałkańskim przewidują możliwość ważnych wypadków i usiłują zbliżyć się do Austrii. Podróż króla Aleksandra serbskiego do Wiednia była poniekąd stwierdzeniem upadku wpływów rosyjskich w Belgradzie. Stronnictwo radykalne, które było dotychczas przychylnem Rosyi, zmieniło swą politykę i jest obecnie wyraźnie austrofilkiem. W Bułgarii jedna też sobie Austria stronników. Wkrótce po obdarzeniu pułkownika Petrowa fotografią cesarza Franciszka Józefa z własnoręcznym jego podpisem, pospieszyl Ferdynand bułgarski do Wiednia. Prasa rosyjska była zaniepokojona tą podróżą, ale widocznie w Wiedniu stracono raz na zawsze zaufanie do tej marnej osobistości i władca Bułgarii wrócić musiał jak niepyszny do Sofii. Wtedy dopiero postanowił wykonać żądanie Rosyi i przyjąć napowrót do wojska zdrajców oficerów. Pułkownik Petrow złożył urząd ministra wojny, a armia jest oburzona na księcia.

Wybory, jak zawsze w Bułgarii, wypadły po myśli rządu. Stronnictwa opozycyjne zdobyły tylko 20 mandatów. W Sofii podczas wyborów tłum, na którego czele szli studenci, urządził przed pałacem księżęcym demonstracyę, mającą na celu protest przeciw przyjmowaniu do wojska zdrajców. W pałacu wybito okna.

Niektóre dzienniki angielskie i rosyjskie zaznaczają, że rząd bułgarski chętnie daje przytułek Armeńczykom, uciekającym z Turcyi i osiedla ich w miejscowościach pogranicznych. Niejaki D... (nazwiska całego nie wymieniają), niedgdy przyjaciel Stambułowa, z którym się poróżnił z powodu sprawy macedońskiej, obecnie pogodził się z rządem i zarazem z dawnymi swymi towarzyszami politycznymi i intryguje wciąż wśród Armeńczyków.

Nie nadając tym faktom szczególnego znaczenia, zaznaczamy je jako znamienne objawy tego niepokoju, jaki panuje na półwyspie bałkańskim i który z pewnością zapowiada niejedną niespodziankę, tymbardziej, że prasa rosyjska wietrzy znowu jakąś skomplikowaną intrygę angielską, której szczegółów uchwycić i celu bezpośredniego odgadnąć nie może.

Zdobył polityki austriackiej na półwyspie bałkańskim przypisują zręczności dyplomatycznej hr. Gołuchowskiego, któremu w Serbii udało się już naprawić to, co Kalnoky swoją nieudolnością zepsuł.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

— Zarząd krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej rozpoczął wydawnictwo wybitniejszych utworów literatury polskiej, po cenie możliwie najniższej, dostępnej dla ludu. Na początek puszczono w świat *Kordeckiego*, dwutomową powieść historyczną Kraszewskiego z ryciną bohatera Częstochowy, Pola *Losy poczciwej rodziny* i nowelę Sienkiewicza *Za chlebem*. Książeczki są istotnie bardzo tanie, a przytem wydane starannie.

— *Bulletin Polonais*, dwutygodnik byłych uczniów szkoły polskiej w Baltignolles, wydał z datą 15 listopada setny numer jubileuszowy w uroczystej, odświętnej szacie. Na treść numeru złożyły się: dłuższy poglądowy artykuł p. F. Trawińskiego o rozwoju powieści i poezji polskiej w ostatniem trzydziestoleciu, zajmujący list o wrażeniach z podróży do Polski dra Noilhaca, wyrazy sympatyj niektórych cudzoziemców dla naszego narodu, sprawozdania z działalności krakowskiej akademii i przegląd prasy polskiej. Zdobną numer jubileuszowy bardzo udatne portrety Asnyka i Sienkiewicza, oraz widok Krakowa z kopca Kościuszki. Redagowany poważnie i wytrawnie, *Bulletin Polonais* cieszy się oddawna zasłużoną sympatją, choć stosunkowo nie wielkiego zażywa rozgłosu.

— *Barbara Radziwiłłówna*, tragedia A. Felińskiego, ukazała się świeżo w wolnym, wierszowanym tłumaczeniu na język francuski p. t. *La Fille de Radziwiłł*. Przetłóżył ją i do użytku scenicznego przerobił dr. J. J. Schwickert, dyrektor biblioteki w Luksemburgu. Przetłóżył swobodnie, wcale dobry, przedinowa pełna pietyzmu dla naszego pisarza, dla literatury naszej i dla Polaków jako narodu.

KRONIKA.

— W Krakowie zawiązał się komitet celem uczczenia trzydziestoletniego jubileuszu twórczości literackiej Adama Asnyka. Uroczystość odbędzie się w teatrze 14 grudnia b. r.

— Zmarły niedawno poseł do rady państwa w Wiedniu ks. Ruczka odznaczył się w r. 1864 i 65 wielką gorliwością w żądaniu uwolnienia uwięzionych przez Moskali lub wysłanych na Sybir poddanych austriackich.

— Do Parany przybyło w sierpniu, wrześniu i październiku r. b., a więc po ustaniu ruchu emigracyjnego z Galicji 3565 Polaków i Rusinów.

— Z Galicji istnieje obecnie emigracja do Bośni i kilkadziesiąt rodzin przybyło do miasteczka Brod, gdzie czeka ją w biedzie na gruntu, jeszcze nie wymierzone.

— Za przykładem Krakowa powstaje z dniem 1 stycznia 1897 r. szkoła dla dorosłych ualfabetów w Rzeszowie staraniem miejscowego Koła Towarzystwa Szkoły ludowej.

— Grecko katolickim biskupem przemyskim zamianowany został ks. Konstanty Czechowicz, który po śmierci biskupa Pefesza administrował dyecezyą. Nowy biskup jest wdowcem, liczy lat 49.

— Nowe codzienne pismo ruskie p. t. *Rustan* ma w grudniu b. r. zacząć wychodzić we Lwowie. Będzie to organ świeżo zawiązanego stronnictwa „katolicko-narodowego“, które na czele

swojem posiada posłów Barwińskiego i Wachnianina, a cieszy się szczególnymi względami metropolity Sembratowicza.

— Niderlandzkie Towarzystwo naftowe, mające siedzibę w Amsterdamie, zaangażowało kilkunastu robotników galicyjskich, obznajomionych z kanadyjskim sposobem wiercenia, na wyspę Jawę, celem wyzyskania tamtejszych terenów naftowych.

— *Gwiazdka cieszyńska* wykazuje, że urzędnicy kolei północnej są za wziętymi germanizatorami. Ze szkoły ludowej na dworcu w Boguminie wyrzucili urzędnicy naukę języka polskiego, a w kościele nie chcą dopuścić do kazań polskich. Nawet Koło odezwało się nareszcie w tej sprawie, ale jak zwykle bardzo dyplomatycznie — więc bez skutku.

— *Nowiny Raciborskie* donoszą, że dyrekcya kolejowa w Katowicach nakazała wywalić ze służby urzędników pomocniczych, nie władających językiem niemieckim. W warsztatach kolejowych raciborskich zakazano robotnikom używania języka polskiego. Oba te zarządzenia najprawdopodobniej z jednego źródła pochodzą.

— Od ludności polskiej na górnym Śląsku policya żąda spisów gości, proszonych na wesela. Pan młody lub ojciec, który wesele urządza, musi spisać gości i listę oddać policji lub gospodarzowi, u którego wieczorem ma się odbyć zabawa. Niemcy od tego są wolni.

— Wszystkim Polakom poddanym rosyjskim i austriackim, przebywającym w Ełku i okolicy nakazano przed 1 grudnia wyjechać z Prus.

— W Nowem (Prusy Zachodnie) ks. Muszyński, który wojuje z towarzystwami polskimi, złożył mieszańcowemu towarzystwu niemiecko-polskie, co wywołało powszechne oburzenie wśród ludzi uczeiwych.

— Z powodu artykułów pism hakatystowskich o wzroście liczby lekarzy polskich, „przyrodzonych agitatorów narodowych“ pisma poznańskie podają następującą statystykę. W r. 1894 było w obwodzie poznańskim lekarzy Polaków 122, Niemców i Żydów 168, bydgoskim 50 i 80, kwidzyńskim 40 i 160, gdańskim 25 i 155, czyli ogółem Polaków tylko 237, zaś Niemców i Żydów 563.

— W Gelsenkirchen i najbliższej okolicy, w Westfalii, przebywa 8000 Polaków. Nie mogąc doprosić się u miejscowej władzy kościelnej księdza, umiejącego po polsku, wysyłają teraz prośbę do Rzymu.

— W Dreźnie powstać ma *Verein zur Wahrung des Deutschtums* z powodu, że zamieszkali tam Polacy założyli dla swej dziatwy skromną szkółkę prywatną.

— *Swiat*, pisząc o projekcie zaprowadzenia samorządu ziemskiego w gub. mińskiej, mohylewskiej i witebskiej, żąda żeby jednomyślne „veto“ rosyjsko-prawosławnej mniejszości mogło powstrzymywać wszelkie uchwały.

— W Zurychu, nakładem „grupy do zwalczania absolutyzmu“, zaczęło wychodzić nieperyodyczne pismo w języku niemieckim, *Russischer Verfassungsstaat, politisches Flugblatt*. Dotychczas wydane dwa numery tego pismka zajmują się polemiką z wiedeńską *Neue Freie Presse*, którą „grupa“ uważa za gazinowy organ rosyjski.

— Mickiewicz „Pan Tadeusz“ wyszedł nakładem zagrzebskiej „Matki“ w tłumaczeniu chorwackiem. Przetłódu wraz z obszerną przedmową dokonał profesor Maretic.

— Dzienniki szwedzkie, polemizując z rosyjskimi, dowodzą, że Rosya popiera skrycie knowania separatystów norweskich. O tym sojuszu radykałów norweskich z agentami rosyjskimi mówiono już głośno przed paru laty.

TREŚĆ: Dawne i nowe złudzenia. — Kilka uwag w sprawie szkolnictwa i oświaty ludu w Galicji, nap. J. L. P. — Z całej Polski, nap. J. L. Jastrzębiec. — Życie umysłowe, nap. J. Niehorski. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa). — Z zaboru pruskiego (Poznań) — Z Galicji. — Z kresów. — Z wychodźstwa i kolonij. — Przegląd prasy. — Z obcego świata. — Notatki bibliograficzne. — Kronika.